Nr. 4. Lwów, 15. Lutego 1887. Rocznik VIII.

STRAŻNICA POLSKA

REDAKCYA i EKSPEDYCYA:
ul. Sykstuska, L. 37. wchód od Ossolińskich
ADMINISTRACYA:
Zarząd drukarni we Lwowie,
Rynek L. 9.
Nra. pojedyncze sprzedawane będą w księgarni Polskiej plac Halicki.

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.
Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.
Numer pojedyńczy kosztuje 15 ct. i jest do nabycia w Administracyi i w księgarni Polskiej.

PRZEDPŁATA
„Strażnica polska" kosztuje kwartalnie:
we Lwowie (bez przesyłki) 1 zł. 50 ct.
z przysyłką do domu . 1 „ 70 „
na prowincyi . . . . 1 „ 75 „
za granicą . . . . . 2 „ — „
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

OD REDAKCYI.

Dla uregulowania nakładu upraszamy o jak najspieszniejsze nadsyłanie prenumeraty, która wynosi:

we Lwowie bez przesyłki,	zł.	1.50
„ z przesyłką do domu . .	„	1·70
na prowincyi	„	1·75
za granicą	„	2·00
Pojedyńczy Nr. kosztuje	„	—·15
Podwójny „ „	„	—·30
Rocznie na prowincyi „	„	7·00
„ za granicą „	„	8·00

Prenumeratę miejscową i zamiejscową prosimy przysyłać wyłącznie na ręce p. *Szczęsnego Bednarskiego,* Zarządcy drukarni p. A. Wajdowicz we Lwowie Rynek L. 9.

Wydawca i Redaktor
J. Nep. z Oleksowa Gniewosz.

Spojrzenie w świat.

Kto chce wiedzieć, jak się zastósować w świecie, ażeby na każdym kroku nie popełnić mnóstwa błędów, musi znać świat i ludzi, wśród których ma obowiązek żyć i utrzymać z nimi stosunki.

Znajomość świata szerokiego, czyli stosunków politycznych, potrzebniejszą jest jeszcze społeczeństwu, które nie zrozpaczyło o swej przyszłości i przyszło nakoniec do przekonania, że każdy naród ostać się może tylko własną pracą. Przekonana tego za mało jest dotychczas w naszem społeczeństwie, albo przynajmniej nie wcieliło się ono głęboko w serca ogółu, nie przeniknęło wszystkich umysłów, nie zespoliło się z krwią w naszych żyłach.

I dziś, i jutro, i zawsze przekonanie takie jest potrzebne i zbawienne. Ale najniezbędniejsze jest ono w chwilach stanowczych. Nie mieć go w takiej dobie, jak ta, która się według wszelkiego prawdopodobieństwa zbliża, to znaczy nie być tem, czem nam Opatrzność, dzieje, i krwawa praca minionych pokoleń być kazały — to znaczy prawie pisać sobie dobrowolnie wyrok zagłady.

Zupełnie bowiem inaczej bronią pokolenia jakiejkolwiek swojej idei, uznanej za świętą, kiedy je przekonanie o skuteczności własnej tylko pracy i trudów ożywia — a inaczej, gdy zamiast tego przekonania, mają przed oczyma jakieś mgliste nadzieje.

Ażeby uniknąć chwiejności i jakiejś na pół niejasnej wiary w swoje prawa, a zatem w to, co bronić jesteśmy zawsze obowiązani — spojrzyjmy w świat.

Niech nas nie przeraża, jeżeli się pokaże, iż my sami tylko jesteśmy tym narodem, który mimo chełpiącego się do koła wiarołomstwa, wierzy jednak, że są wyższe prawa i idee, niż te, które łamać i deptać wolno bezkarnie względem słabszych.

Tak było już nieraz i tak będzie jeszcze wielokrotnie, a mimo to wszystko siła moralna odniesie tryumf, bo siły tej niezdolna jest stłumić żadna potęga fizyczna. Idzie tylko o to, jak w danym razie bronić potrafią najświętszych praw swoich ci, którzy obok wewnętrznego przekonania, zbyt mało posiadają sił fizycznych.

Powodzenie zależne jest od tego, o ile własną głęboką wiarę i własną ideę, potrafią przenieść w umysły warstw jak najlepszych.

Wobec codziennych przykładów nieposzanowania międzynarodowych traktatów, wobec spekulacyi i kramarstwa politycznego, wobec wszystkich wzajemnych postrachów i gróźb, któremi nabrzmiewa atmosfera Europy z jednego krańca w drugi — z czem my, — wyzuci, przyznajmy to z góry z praw politycznych własnemi po części błędami ojców — z czem my przyjść możemy do świata i jakie podnieść hasło, gdy ze wszystkich stron odezwą się interesa?

Odpowiedzielibyśmy odważniej i bez wahania, gdyby nie owo podkopanie w społeczeństwie wiary we własne siły. Gdy jednak tak jest, powtórzyć musimy, że przedewszystkiem wszyscy powinni zdać sobie jasno sprawę, do jakiej należą narodowości i dla kogo pracować chcą, a następnie pomyśleć o tem, jak to inne narody bronią swojej godności narodowej, podczas, gdy u nas i to poczucie już się zaczynało zacierać.

Skoro ockniemy się z tej niegodnej ludzi nicości, skoro wiara z przekonaniem zrobi postęp w kółkach i kołach coraz szerszych — wówczas umysły dojdą instynktem, jak i z czem odezwać się wśród chóru interesów, bronionych siłą.

Świat znużony kramarstwem, poprze każdą ideę żywotną, która zdoła weń tchnąć wiarę, że ludzkie umowy szanowane będą. Ale świat potrzebuje przykładu, który ma siłę przyciągającą. I jak dziś wywierają wpływ złe i zgubne teorye, że niczem są prawa ludzkości, tak niedługo może zacznie wywierać wpływ idea, że owszem wyższe jest wszystko to, co w piersi człowieka i całych społeczeństw jest ideałem i świętością.

Jedni widzą dziś tylko wspólnictwo takich sprzecznych interesów, jak naprzykład interes Francyi w popieraniu Rossyi, jak postępowanie despotycznej Rossyi pełne obłudy, która głosi miłość i braterstwo słowiańskie, a uciska i tępi słowiańską Polskę. Politycy tacy nie patrzą w przyszłość. Nie wiedzą, że jedno zwycięstwo, odniesione przez Francyę, rozbudziłoby na nowo ducha prawdziwej wolności, że synowie tej Francyi nie zaparliby się ojców swoich, lecz zerwaliby sojusz nienaturalny.

W owej to chwili jeden głos tylko z ciemiężonej Polski wystarczyłby, ażeby zdemaskować braterstwo i miłość panslawistów.

Nie widzą też analogii w wyzywaniu naszych nieprzyjaciół. Posłuchajcie tylko pilnie i spojrzyjcie baczniej: W parlamencie i w sejmie pruskim, urzędnicy państwa nazywają uczucia przywiązania naszych rodaków do ojczyzny: zdradą stanu, Polaków — zdrajcami. Czemu? Bo oto, wołają: wyprzysiężcie się w głębi serca utajonego uczucia, że nie chcecie oderwać Wielkopolski od Prus. A

DAWNIEJSI AKADEMICY POLSCY.

napisał

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

(Ciąg dalszy).

Do ciekawych pojedynków zaliczyć musimy jeszcze jeden, który się odbył około roku 1850 w Wrocławiu.

Na kursa prawne uczęszczał niejaki Kuczkowski. Był to młodzieniec wysokiego wzrostu, blondyn, jasnego niebieskiego oka, a zbudowany jak Apollo Belwederski. Był to młodzian w całem słowa tego znaczeniu piękny, pełen życia i werwy młodzieńczej, wykwintnych manier i z wybitnym zakrojem rycerskości.

Kuczkowski miał nietylko mir pomiędzy kolegami, ale w życiu społecznem ktokolwiek go poznał, patrzał na niego z przyjemnością. A jeżeli dodamy, że był wybornym tancerzem, to nie dziw, że nadobne Wrocławianki nazywały go — „der schöne Pole" — i starały się o to, aby go na publicznych zebraniach, jakoto balach, wieczorkach — nie brakło. Po każdym balu wychodził on formalnie oblepiony orderami kotylionowymi i innemi tego rodzaju odznakami.

Do najwięcej dystyngowanych zebrań należały bale giełdowe, a giełda ta była zarazem kasynem, którego członkami byli kapitaliści i najlepsza śmietanka wrocławska. Kto chciał z nieczłonków uczęszczać, musiał postarać się o zaproszenie piśmienne i wprowadzenie przez członka.

Bale te były w rodzaju pikników i odbywały się jakby w wielkiem gronie familijnem. Znakomicie urządzone bufety z przekąskami, gdzie każdy gość mógł dysponować co chce; przez służbę wygalonowaną roznoszone nieustannie chłodniki, różnego rodzaju wina, szampany, nęciły też nie mało.

Na te bale otrzymywało zawsze co najmniej kilkunastu akademików Polaków zaproszenie. Kuczkowski zaś chciał czy nie chciał, musiał być prawie stałym gościem, i więcej do niego konkurowały nadobne Wrocławianki, jak on do nich.

Rywalem jego, walczącym o palmę pierwszeństwa, był porucznik od pieszych celnych strzelców, niejaki Neumann. Była to mała ale czupurna sztuczka, brunet, żywy jak iskra i umiejący się po swojemu kobietom podobać. Kuczkowski był dlań solą w oku, bo mu jakoś zawsze palmę pierwszeństwa wydzierał. Do gwiazd na balach giełdowych zaliczała się znowu córka pewnego bankiera, młodziutkie szesnastoletnie stworzenie, wysmukła, jasno blond włosów, z lekkim odcieniem czerwoności, charakteryzującym córy Germanii. A że ojciec miał być bardzo bogaty, to nie dziw, że i córunia była rozpieszczonem, kapryśnem dzieckiem. Zwracała ona wzrok na Kuczkowskiego, a nawet przypuszczała strzeliste ataki. Nasz Apollo udawał, że tego nie rozumie. Piękna Lina tak tą nieczułością została oburzona, iż postanowiła się zemścić „na tym pięknym Polaku."

Otóż przy końcu karnawału był znowu bal, a Kuczkowski nie zaangażował jej do żadnych głównych tańców, lecz dopiero później prosił ją do walca czy polki, aby raz lub dwa przetańczyć naokoło sali. Lina odmówiła mu, a nawet podobno dosyć szorstko, dając za powód, że jest zmęczoną. Lecz gdy zaledwie krok od niej odstąpił, zbliża się porucznik Neumann, a ona natychmiast wstaje i tańczy z nim.

Kuczkowski nie rusza się z miejsca, a gdy usiadła, staje tuż za jej krzesłem. Porucznik Neumann siada obok niej i gawędzą.

W tej chwili zbliża się jeden z akademików Niemców do Kuczkowskiego, dziwiąc się, jaki mu afront panna Lina zrobiła. Ten odpowiada z zimną krwią, ze spokojną ironią: — „nie dziw się pan, boć to zawsze młode gąski ciągną najwięcej do trawy."

Był to naturalnie przycinek do zielonego munduru strzeleckiego porucznika Neumanna. Ten wstał natychmiast, zbliżył się do Kuczkowskiego i wymieniono karty wizytowe.

gdy rodacy nasi odpowiadają: nie macie prawa do naszych uczuć, Niemcy wołają znowu «zdrada»!

Z tem samem wołaniem i wyzywaniem zwracają się do Francyi. Czemu? Bo żądają od Francuzów, ażeby oświadczyli, że wyrzekają się myśli odebrania Alzacyi i Lotaryngii. A kiedy daremnie czekają na oświadczenie, mówią, że Francuzi zdradzają traktat frankfurcki. Nie widzicież w tem analogii?

Potężne Niemcy zdradzają się z obawą, że do koła nich czyha zdrada. Nie widzicież w tem prawdy, wypowiedzianej przez własnego ich rodaka, wyższego umysłem, że:

«to przekleństwo złego czynu»?

I otóż tem to właśnie wyższa i nieśmiertelna jest idea narodowa, że słabym dodaje siły i otuchy, a najsilniejszych fizycznie przeraża i nabawia niepokojem.

W miarę zatem coraz lepszej obrony i z coraz większą wiarą podejmowanej obrony idei narodowej i wolności, zyskiwać będziemy coraz więcej sił i pozyskamy sympatye duchów pokrewnych. Ale do tego potrzeba patrzeć w świat i nabrać przekonania o skuteczności tylko własnej pracy.

Uchwały obywatelstwa poznańskiego

powstałe na wiecu

dnia 25. Stycznia 1887. roku.

Obywatele miasta Poznania, zebrani na wiecu w dniu dzisiejszym 25. Stycznia 1887. r., stanowimy jednozgodnie, co następuje:

Uchwała I.

Ustawy, odnoszące się do ziem polskich pod berłem pruskiem z 1886. r., usuwające pośrednio praktyczne znaczenie traktatów wiedeńskich i obietnic monarchów pruskich, któremi została nam Polakom pod berłem pruskiem zagwarantowaną odrębność narodowa, stawiają nas w to położenie, iż musimy o *własnej sile i własnej pomocy* pracować nad zachowaniem naszej odrębności narodowej.

Uchwała II.

Wskutek przyspieszonego przez Ustawę z dnia 26. Kwietnia 1886 r. (o 100 milionach) przechodzenia większych dóbr ziemskich w W. Księstwie i Prusach zachodnich z rąk polskich w ręce niemieckie, ludność polska i to jej średnie i niższe warstwy będą pozbawione coraz więcej tej opieki, jaką dotąd w stosunkach politycznych dawały im warstwy wyższe.

Wobec tego, my obywatele miasta Poznania, zebrani na niniejszym wiecu, uważamy sobie za obowiązek narodowy, wezwać całą ludność polską, aby się już dziś liczyła z następstwami utraty większych dóbr polskich i dążyła do tego, ażeby *o własnych siłach, z własnej pobudki, a bez oglądania się na panów,* brała na siebie te obowiązki narodowe i obywatelskie, bez których cechy narodowej w następnych naszych pokoleniach nie zachowamy.

Żywimy przekonanie i publicznie wypowiadamy, że w naszych średnich stanach tak miejskich jak wiejskich, jest tyle wyrobienia obywatelskiego, tyle miłości języka ojczystego i ojczystej tradycyi, tyle gotowości do ofiary, gdy jej sprawa publiczna wymaga, iż już przy obecnym zasobie sił nasze warstwy średnie mogą podjąć troskę około ratowania i zachowania swej narodowości. Tylko grzeszna obojętność i samobójcze lenistwo mogą powstrzymać polskie warstwy średnie od dalszego rozwoju pod względem narodowym i obywatelskim, tak, że z wiarą w Boga, który podzielił ludzi na narody, wypowiadamy:

jeżeliby kiedy w nas lub dzieciach naszych miała być zatraconą narodowość polska, to zaginie nie wskutek ustaw z r. 1886., ale z naszej własnej winy.

Wzywamy przeto warstwy średnie, tak wiejskie jak miejskie: ażeby krzepiły wiarę w sobie: *że i bez większych posiedzicieli ziemskich może się ostać ludność polska przy swej narodowości.* Wzywamy wszystkich, ażeby wiarę tę przez osobną agitacyę wśród ludu polskiego rozpowszechniali i budzili ją tem, gdzie jej dotąd nie ma.

Wzywamy wszystkich, ażeby przez osobną agitacyę niszczyli to zgubne pojęcie, gdzie je napotkają; jakoby ze zubożeniem warstw wyższych ginąć musiała narodowość polska w mieszczaństwie i ludności wiejskiej.

Uchwała III.

Wskutek Ustawy z dnia 15 lipca 1886 o stosunku służbowym nauczycieli i nauczycielek przy szkołach ludowych,

wskutek przesiedlenia nauczycieli Polaków w głąb Niemiec a mianowania w niektórych szkołach polskich nauczycieli Niemców, czysto języka polskiego dokładnie nieznających,

wskutek ograniczania liczby godzin dla nauki języka polskiego lub zupełnego usunięcia tej że nauki w niektórych szkołach Warmii, Prus Zachodnich, W. Księstwa Poznańskiego i Górnego Szląska,

wskutek zaprowadzania nauki religi i śpiewów nabożnych w języku niemieckim po niektórych szkołach wyżej wymienionych dzielnic,

ludność polska pod berłem pruskim musi się liczyć z tem:

że zdolność i wprawa w używaniu języka ojczystego czy to w mowie, czy przy czytaniu książek nabożnych, światowych, lub gazet polskich, czy przy pisaniu, będzie się okolicami zmniejszała, co musi tamować wielorako rozwój narodowości polskiej w granicach pruskich.

A że na następstwa takie najwięcej będą wystawione *dzieci polskie,* przeto uważamy za święty obowiązek każdej rodziny polskiej, aby dzieciom swym w własnym domu podała sposoby do nauczenia się czytania i pisania polskiego,

i wzywamy wszystkich rodziców polskich, których stać na to, by w tym celu zakupywali dla dzieci swych Elementarz poznański, wydany nakładem księgarni Jarosława Leitgebra w Poznaniu.

Wzywamy wszystkich rodaków pod berłem pruskiem, ażeby przez osobną agitacyę wiadomość o tym Elementarzu roznosili, po swoich okolicach, gdzie ujrzą potrzebę tego, nakłaniali rodziców do jego zakupienia. Tylko przez taką wytężoną agitacyę Elementarz poznański stać się może niezbędnym sprzętem w każdym domu polskim i tylko wtedy będziemy mogli powiedzieć sobie: że dzieci polskie nie są pozbawione nauczyciela, uczącego je czytać i pisać po polsku.

Komu drogim jest język ojczysty, kto go pragnie zachować dla dzieci swoich, niech nie zapomina o Elementarzu.

Uchwała IV.

Szkoły wieczorne dla uczniów rzemieślniczych aż do skończonego 18. roku życia, zaprowadzone na mocy ustawy z dnia 4. maja 1886. r. w W. Księstwie Poznańskiem i w Prusach Zachodnich, a udzielające tymże uczniom naukę w języku niemieckim, rachunkach i rysunkach i to w wykładzie wyłącznie niemieckim, same przez się szkodliwemi być nie potrzebują dla ludności polskiej, jeżeli młodzież rzemieślnicza przez tę naukę rzeczywiście powiększy swe wiadomości.

Mogą one jednak działać pośrednio na osłabienie cechy narodowej w polskiej młodzieży rzemieślniczej, mianowicie w okolicach w większej części lub przeważnie przez ludność niemiecką zamieszkałych, dalej w takich razach, gdy młodzież rzemieślnicza rychło wychodzi w niemieckie strony, z domu nie wyniesie dostatecznego przywiązania do ojczystego obyczaju, a w obczyźnie jest odciętą od wszelkich wpływów narodowych.

Zważywszy to, uznajemy za nasz obowiązek narodowy czuwać nad młodzieżą rzemieślniczą, wszczepiać zawczasu w jej młode serca miłość do języka i obyczaju ojczystego i podawać jej sposoby, jakie się w naszem społeczeństwie znajdą, aby w niej ukrzepić świadomość narodową. Do tej pracy wzywamy cały polski stan rzemieślniczy i robotników fabrycznych w granicach państwa pruskiego,

mianowicie zaś odzywamy się do *Młodzieży* samej i upominamy ją, aby już dziś czuwała nad zachowaniem swej cechy narodowej i otaczała swą opieką *tych* z pomiędzy siebie, *którzy* nie z winy ani swej, ani swych rodziców, ale z winy okoliczności, wśród których się wychowali, *zatracili już żywsze poczucie ojczystego obyczaju.*

Uchwała V.

Zważywszy, że okoliczności, w jakich się znajduje obecnie ludność polska pod berłem pruskiem, są dla narodowości polskiej bardzo nie sprzyjające,

zważywszy: że obecnie nie da się wcale przewidzieć, jak w przyszłości działać będą Ustawy odnoszące się do ziem polskich pod berłem pruskiem z 1886 r. i jakie się wskutek działania tychże Ustaw wytworzą stosunki, z któremi się ludność polska liczyć będzie musiała;

uznajemy za konieczną potrzebę podnieść znaczenie agitacyi osobistej, dobrowolnej, w obronie narodowości naszej,

---

W kilka minut potem przedstawili się Kuczkowskiemu sekundanci Neumanna, a bezzwłocznie tymże jego sekundanci.

Następnego dnia rozpoczęły się układy o warunki pojedynku. Neumann wziął pozwolenie od komendy wojskowej — to też z tego pojedynku nie robiono wielkich tajemnic, a większość opinii publicznej była po stronie Kuczkowskiego i kto znał obydwóch, wiedział o tem naprzód, że pojedynek ten nie skończy się na żartach. Spotkanie to stało się jeszcze tem ciekawsze, z powodu rażącej różnicy wzrostu obydwóch, a broń jaką przyjęto, były szable.

Pojedynek miał się odbyć pod Trzebnicą w lasku bukowym (gdzie słynny klasztor św. Jadwigi). Zima była lekka, prawie taka jak tegoroczna, bezśnieżna. Miejsce, jakie sekundanci wybrali, była to łąka sucha, przedstawiająca maleńką kotlinę, otoczoną jakby wałem, wzgórzem, zarosłem bukami.

Na plac boju udali się nietylko zapaśnicy z sekundantami i każdy ze swym lekarzem, ale wyjechało również kilkunastu oficerów i akademików Niemców i kilkunastu Polaków.

Przybywszy na miejsce, ustawili się na wzgórzach, otaczających kotlinę, naprzeciw siebie dwa wrogie obozy, przypatrując się jakby z amfiteatru na walkę gladiatorów.

Przeciwnicy zrzuciwszy z siebie wierzchnie ubrania i kamizelki, pozostali tylke w koszulach. Sekundanci obejrzeli brzeszczoty szabel, wyostrzonych do połowy jakby brzytwy. Według odwiecznego zwyczaju, przyjętego w pojedynkach na szable, skrzyżowali się temiż, a jeden z sekundantów związał oręże na skrzyżowaniu czerwoną jedwabną wstążeczką.

Sekundanci główni stanęli po za lewymi bokami, również z szablami w ręku do odbijania, za swymi klientami.

Był to widok rzeczywiście arcyciekawy, który dziś porównać można do pojedynku Bohuna z Wołodyjowskim, jak ich przedstawia Sieńkiewicz.

Dano hasło klaśnięciem trzy razy w rękę. Zapaśnicy rozerwali tasiemkę jedwabną i natarli na siebie. Gdyby było cokolwiek ciemniej, sypałyby się niezawodnie z szabel iskry.

Bój trwał przeszło minutę bez żadnego skutku. Sekundanci nakazali odpoczynek, proponując jeszcze raz zgodę, lecz naprożno. Zapaśnicy znowu się niebawem skrzyżowali, a w chwilkę potem, z lewej ręki Kuczkowskiego wyżej łokcia trysnął obficie strumień krwi, a następnie dostał nasz Apollo znowu dwa cięcia poziome przez lewy i prawy policzek niżej ucha, które to cięcia skrzyżowały się z przodu poniżej dolnej wargi. Krew oblewała mu ramiona i piersi, ale oczy miał wolne. Kuczkowski zaczął blednąć, ale zaciął zęby, a oczy mu się zaiskrzyły. Sekundanci żądali, aby opatrzono mu ranę, ale Apollo odezwał się: — „na to czas jeszcze!" Naturalnie, o ile przyjaciele jego byli zmieszani, o tyle oficerowie i akademicy Niemcy zaczęli tryumfować, a nawet jakiś dureń klasnął w ręce z radości.

Wynik jednak, jaki nastąpił potem, gdy porażka Kuczkowskiego była prawie niezawodną, był zupełnie niespodziewany przez jedną i drugą stronę widzów.

Kuczkowskiego dopiero jego własna krew, tryskająca z trzech ran, rozsierdziła na dobre. Zaczął z taką natarczywością nacierać na porucznika Neumanna, że ten pomimo znakomitego władania szablą, nie napadał już, ale się zaczął cofać. Ciosy spuszczał Kuczkowski z błyskawiczną szybkością, aż nareszcie udało mu się cięcie krzyżową sztuką, wbrew wszelkiej metodzie szermierki.

Jak dwie błyskawice spadły dwa cięcia na głowę porucznika i — jedno ucho upadło na ziemię, jakby je kto nożycami obciął, a drugie trzymało się tylko na dolnej części, obwisłszy jak kulczyk na szyję.

— „Herr Jesus!" — „um Gottes Willen!" zakrzyczeli Niemcy jakby jednym chórem i nic dziw, bo pan porucznik dziwnie szpetnie wyglądał, chociaż po tak gładko wykonanej operacyi.

Oczywiście uznano dalszy bój za niemożebny i że warunkom honoru stało się zadosyć. Lekarze opatrzyli szybko swoich klientów i kalwakada odjechała jak najspieszniej do Wrocławia.

i wzywamy *całą ludność polską pod berłem pruskiem*, aby mimo zbawiennej skuteczności wszelkich prac, zbiorowemi siłami podejmowanych, nieoglądała się na to, co się tylko zbiorowemi siłami da osiągnąć, ale żeby rozpowszechniała między sobą uznanie tej potrzeby: że *każdy Polak*, któremu Pan Bóg udzielił i dość bystrości i dość zapału, winien agitować w pojedynkę, osobiście, z własnej pobudki, na własną rękę, w domu i po za domem, stósownie do okoliczności, w jakich się znajduje.

Ta osobista agitacya, prowadzona w dobrej woli i w dobrej wierze, wytworzyć może w ludności polskiej potężną siłę obrony i nietylko uzupełniać nasze prace złączonemi siłami podejmowane, ale nawet w razie potrzeby zastąpić takowe.

A że potęga tej osobistej agitacyi zależy od jej rozpowszechnienia, przeto uważamy za rzecz konieczną, ażeby się nią zajmowali nietylko *mężczyźni*, ale także *kobiety polskie*

i wzywamy wszystkich Rodaków, aby swe matki, żony, siostry i córki pouczali do tejże agitacyi w ich własnem rodzinnem kole. Pomoc, jaką nam dać może w obronie narodowości naszej *kobieta Polka*, nabiorą tem większej doniosłości przez to, że kobieta na stanowisku, jakie jej dał Bóg i wiara św. przeznaczyła, w średnich i niższych warstwach działa zbawiennie i skutecznie tam, gdzie mężczyzna często nic nie może i nic nie znaczy.

Uchwała VI.

Zważywszy, że ludność polska w średnich i niższych warstwach pod berłem pruskiem pod względem poczucia obywatelskiego nie jest jednolicie rozwiniętą,

zważywszy: że polskie warstwy średnie i niższe od niedawna dopiero podnoszą się do wiadomości i godności obywatelskiej a podnoszą się wśród okoliczności bardzo niesprzyjających,

zważywszy, że dotychczasowa dążność warstw średnich do coraz większej samodzielności w pracy narodowej i obywatelskiej, napotyka wielorako na zaczepki i fałszywe tłómaczenie i to z strony własnych Rodaków, który w tem upatrują jakieś podburzanie jednych klas przeciw drugim,

prosimy i wzywamy Wszystkich Rodaków, aby solidarnie bronili nasze warstwy średnie przed podobnym zarzutem.

A że na nieby się nie zdało, gdybyśmy tylko na jednem miejscu, w niektórych okolicach myśleli o obronie narodowej,

i że tylko wtedy narodowość polska, pod berłem pruskiem może się zachować, jeżeli cały lud polski zabierze się do jej obrony,

przeto prosimy i wzywamy Wszystkich Rodaków, ażeby niniejsze uchwały nasze przyjęli za swoje i w ich duchu pracowali.

By zaś wspólną myśl i wspólnego ducha rozniecić wszędzie, gdzie biją serca polskie,

prosimy i wzywamy Wszystkich Rodaków pod berłem pruskiem, ażeby te nasze uchwały, na niniejszym wiecu powzięte jednomyślnie, a drukiem ogłoszone, rozpowszechniali w kołach swoich znajomych i w ten sposób do wiadomości ludu podawali.

Uchwała VII.

Ponieważ przy wydawaniu Ustaw, odnoszących się do ziem polskich pod berłem pruskiem z roku 1886. wielokrotnie tak w samym sejmie pruskim jako i w dziennikach niemieckich czyniono nam jako poddanym państwa pruskiego ciężkie zarzuty,

oświadczamy przeto, że zarzuty te uważamy jako niczem nie uzasadnione, niesłusznie i niesprawiedliwe i protestujemy publicznie i uroczyście przeciw temu, jakoby ludność polska dążyła do oderwania się od państwa pruskiego.

Protestując przeciw temu, oświadczamy publicznie i uroczyście, że

wiedząc bardzo dobrze, iż spełniamy wszystkie **o b o w i ą z k i** względem monarchy, rządu i państwa,

znamy także prawa: jakie nam Polakom pod berłem pruskiem przysługują — i nie damy się zastraszyć żadnemi Ustawami.

Rodacy! Wzywamy Was, abyście, broniąc swej narodowości, przestrzegali ściśle prawa, abyście bronili jej *tylko legalnie i jawnie*. Ale wzywamy Was jednocześnie, byście *ducha nie tracili* i z wytrwałą gorliwością bronili skarbu narodowego w dzieciach swoich z wiarą w Boga Wszechmocnego, który żywi ptaki niebieskie i odziewa lilie polne.

Niech żyje narodowość polska!

Poznań, dnia 29. Stycznia 1887.

Z upoważnienia wiecowników: *Stanisław Offierski*, przewodniczący. *Maxymilian Mniszewski*, sekretarz. *Stanisław Knapowski. Józef Skóraczewski. Dr. Roman Szymański.*

Odpowiedź
rzymskiego korespondenta Gazety Narodowej
Wielebnemu Ojcu Morawskiemu
na artykuł Przeglądu powszechnego:
„Słowo o Papieżu."

(Artykuł ten przeznaczony był dla „Gazety Narodowej." Redakcya tego pisma nie chciała go zamieścić dla tej przyczyny, iż lękała się obrazić możne stronnictwo ultramontańskie. Ponieważ jesteśmy przeciwnikami poświęcania prawdy dla względów utylitarnych, artykuł ten pełen ważnych i dla historyi naszej nieobojętnych napomknień, zamieszczamy. Redakcya.)

Rzym, 3. Grudnia 1886.

Ważne zajęcia czas mój pochłaniające, nie dozwoliły mi do dziśdnia przesłać wam kilku uwag o artykule O. Morawskiego w *Przeglądzie powszechnym* przeciwko mnie. Korzystam z pierwszej wolnej chwili, aby to uczynić, chociaż niewymowną czuję ckliwość, rozbierając tę nie recenzję, ale namiętny i niesprawiedliwy akt oskarżenia. Duchowny polski, apostoł miłości i pokoju, a przytem syn uciśnionego i niejako na zgonnej toni znajdującego się narodu, nie powinien się był wyrażać w taki sposób, jeżeli czuł choć odrobinę solidarności z tym narodem, który nie jest przecież tylko częścią powszechnego Kościoła, owczarni Chrystusowej, ale jest nadto świecką społecznością, zbiorową, przez Boga samego stworzoną istotą. Oprócz wiary swojej, musi on bronić doczesnego swego bytu, nieprzedawnionych praw swoich, własnej istoty, którą nie od Papieża, lecz wprost od Boga samego otrzymał i której obrony nie może się przeto wyrzekać dla nikogo, więc ani nawet dla samego Papieża.

Zanim jednak niebezpiecznych i opłakanych sofizmatów O. Morawskiego pobieżnie dotknę, winienem powtórzyć, że jego akt oskarzenia na mnie jest niesprawiedliwym i bezpodstawnym i dowodzę tego:

Aby słowom moim odebrać, jeśli można, wszelki posłuch i kredyt u ludzi, aby mię zohydzić czytelnikom, szanowny mój przeciwnik nie wahał się wraz z cytatami z moich listów nazbierać w czambuł przytoczeń z *Gazety Narodowej* z przed szesnastu lat, to jest z 1870 r., przypisując mi takowe. Owoż oświadczam i zaręczam uczciwem słowem, że przytoczone ustępy z ówczesnej rzymskiej korespondencyi nie wyszły z pod mojego pióra i że w r. 1870 żadnych stosunków nie miałem z czasopismem ś. p. Dobrzańskiego. Nigdy więc powiedzieć nie mogłem, że w danych razach „naród polski musiałby odpaść od Rzymu i t. d." Podobnież ani podczas soboru ani potem nie pisałem jako żywo o schemacie *de Ecclesia* i przytoczony w tym przedmiocie ustęp **nie należy do mnie**. Przeciwny owszem byłem i jestem wszelkim kościołom narodowym, nawet w najgorszych razach, bo religia rzecz święta i nietykalna, ustawa wieczna i boska, nie może być narzędziem żadnej narodowości, gdyż jest wyższą od wszystkich i nigdy, od kiedy piórem władam, nie doradzałem utworzenia podobnego Kościoła w Polsce ani onym groziłem. Z tylu niedorzeczności, popełnionych przez Polaków, byłaby to ostatnia i największa! Jestto więc ze strony O. Morawskiego albo gruba pomyłka względem osób, których nie zna, albo oczywista zła wiara. *Ab uno disce omnes.* I jakże tu rozprawiać z ludźmi, którzy nie wzdrygają się kłaść śmiało i stanowczo na karb niemiłego sobie pisarza, tego co inni pisali, nazywać go grzecznie i uprzejmie **b r z u c h o m ó w c ą** i oskarżać go o bezimienne zdania i o radykalne zasady dziennikarzy, z którymi nie ma nic wspólnego i od których przepaść go moralna dzieli? Skoro wszelka bezimienna korespondencya z Rzymu czy z Włoch do pism polskich, które nie są *Czasem* albo *Kurjerem poznańskim*, ma już wychodzić z pod jednego pióra, to oczekuję, jak lada dzień O. Morawski przypisze mi także listy rzymskie do petersburgskiego *Kraju* i napaści jego korespondenta na ś. p. zacną księżnę Zofię z Branickich Odescalchi, którą **p a p i e ż o w ą p o l s k ą** mianuje...

B r z u c h o m ó w c a, do którego O. Morawski z takim nadmiarem miłości chrześcijańskiej przemawia, potrafi zapewne odpowiedzieć we właściwem miejscu i porze, podpisując swe imię i nazwisko, na te osobiste zaczepki, bo raz przecie skończyć on musi z tą stańczykowską podjazdową wojną, tak zajadle od lat kilkunastu przeciwko jednemu prowadzoną człowiekowi. Ja zaś dodam tylko tutaj, że pewni recenzenci i korespondenci, pewni rewizorowie polskich i słowiańskich dzienników w epoce wspominanej przez O. Morawskiego, byli nie tylko pisarzami wierszem i prozą, ale nadto policyantami i szpiegami papiezkiego rządu, a co gorsza, fałszywymi donosicielami na własnych rodaków. Zarzucając im to samo pamiętne **b r z u c h o m ó w s t w o**, które dzisiaj O. Morawski śmie mi zarzucać, to jest oskarżając ich tym samym klasycznym już w dziejach

---

Kuczkowski widocznie miał bardzo zdrową krew, bo w niespełna cztery tygodnie, już spacerował z kolegami po wałach jedynie z ręką lewą na temblaku, ale natomiast dwie blizny na twarzy dodawały mu niemało uroku rycerskiego.

Nie tak gładko wylizał się pan porucznik Neumann, bo prawe ucho, pomimo że zaraz na miejscu zostało przyszyte, pomimo wszelkiej troskliwości lekarskiej, gnoiło się i — odpadło zupełnie. Na lewe zaś lizał się bardzo długo, aż w końcu nie pozostało nic innego, jak wziąć dymisyę i wyjechać z Wrocławia.

Po tym wyniku pojedynku byli już Niemcy bardzo ostrożni i nie prowokowali Polonii. Że Kuczkowski u płci pięknej pozyskał jeszcze większą estymę za tak gracki popis, o tem zbyteczne pisać.

Jak to różne charaktery bywają pomiędzy młodzieżą, to i w Wrocławiu ich nie brakowało. Do takich zaliczał się prawnik R., któremu koledzy nadali przydomek „prezesa waryatów." R., syn niezamożnych rodziców, zdobywał głównie sam własną pozycyę. Średniego wzrostu blondyn, jasnego, pełnego ognia oka, o regularnych rysach, a z całej fizyognomii tryskała formalnie siła młodzieńczej werwy. Młodzieniec ten, gorącego serca, pomimo niezwykłej fantazyi, jaką się powodował, pomimo figlów, które płatał, a odznaczających się często nietylko genialnością ale i cywilną odwagą, zjednał sobie szczerą przyjaźń wszystkich kolegów. Głos jego bywał w ważniejszych sprawach decydującym, a był przytem jak się to mówi biczem Bożym na wszelkie zachcianki paniczykowstwa, czyli po dzisiejszemu gogostwa, a szczególnie wtenczas, jeżeli taki paniczyk miał się za coś lepszego od wszystkich innych kolegów. Dzielny „prezes waryatów" był jak to mówią i do tańca i do różańca, do szklanki, do wybitki, do piosnki, a naturalnie i wdzięki płci nadobnej nie były mu obojętnemi.

Gdy wyjeżdżał na wakacye w Poznańskie, był nader pożądanym gościem, szczególnie tam, gdzie było wiele panien w okolicy, bo gdy tylko się pojawił, budziło się życie. „Prezes waryatów" i przez płeć piękną tak nazywany, porywał wszystkich w szalony wir, ale nigdy nie minął się z tem, co znamionuje w młodym człowieku szlachetność charakteru i prawość rycerską.

Tak samo znany był powszechnie i w Wrocławiu jako: — „dar Narren-Präses" — co bynajmniej jego rzeczywistej powadze nie ubliżało. Wybryki te miały jednakowoż swoje granice, gdyż nikt tak pilnie nie wertował pandektów i całemi nocami nie ślęczał nad poważnemi księżkami, jak on. Znany był profesorom jako najpilniejszy słuchacz na uniwersytecie i byli dla niego z uznaniem. A że młodość ma swoje prawa i powinna tychże używać, to też i R., mianowicie w czasie karnawału, używał tych praw, o ile siły na to starczyły.

Otóż pewnego karnawału około r. 1852. udał mu się figiel recte pustota, która tylko takiemu „prezesowi waryatów" mogła ujść płazem. Wrocław słynął w tych czasach zabawą w ostatnich dniach każdego karnawału tak zwanym „balem błaznów" czyli „Narrenball." Była to na wielką stopę urządzana maskarada, w której cała inteligencya wrocławska brała udział, a najpierwsze powagi poddawały się prawom, na tym balu obowiązującym. Do kardynalnych zaś warunków należało, że nikomu nie wolno było wejść na salę, kto nie był ubrany w strój maskowy, lub co najmniej nie przywdział oznaki przepisanej, którą stanowiła czapka błazeńska. Przy wnijściu należało się bezwarunkowo w taką zaopatrzyć i wsadzić na głowę. Pierwsze powagi naukowe, uniwersyteckie, artystyczne, urzędowe, rodowe, a nawet wojskowe po cywilnemu, przywdziewały czapkę z dzwonkami i oddawały się wspólnej wesołości. Było to pod tą czapką zrównanie stanów i nie było innych tytułów, jak „ty!" — „du!"

Całe pochody charakterystycznych masek, grupy z kolorytem politycznym, chłoszczące z sarkazmem, — brane z teraźniejszości, przyszłości i przeszłości, przesuwały się przed oczami setkami jak w kalejdoskopie. W głównej wielkiej sali i licznych pobocznych panowało takie życie, jakby tam ktoś wszystkie domy waryatów razem sprowadził. Siwizna i młodość podawały sobie ręce i zachęcały nawzajem do pustoty.

Nasz „prezes waryatów" wystąpił tego dnia w pysznym stroju błazna w całem słowa tego zna-

stańczykostwa przydomkiem o autorstwo bezimiennych artykułów, których oskarzeni nigdy nie pisali, — ściągali na nich prześladowania obcego rządu i wyjednywali wyroki wygnania. By zaś Piusa IX. przekonać o pomienionem brzuchomowstwie, gorliwcy ci posuwali się aż do podawania Papieżowi sfałszowanych autografów, popartych listami dostojników podobnież naszej narodowości, domagających się gwałtownie wygnania rodaków z państwa kościelnego... Ale o tej zawziętej, wściekłej, bratobójczej wojnie polskich Kaimów, jakiej Rzym był widownią od 1868 do 1870 r., imienne gdzie indziej i autentyczne nastąpi, o ile wiem, ogłoszenie. Zdaniem więc mojem, O. Morawski we własnym i stronnictwa swego interesie nie powinien był wywoływać tego zasłużonego ogłoszenia lekkomyślnością swoją, nieuzasadnionymi cytatami, zbyt przezroczystemi przymówkami do znanych osób, i odgrzebanemi przez siebie zelżywemi przezwiskami, które wywołują ponure i okropne wspomnienia, a ktore, ilekroć rewerenda nie zapewnia bezkarności obelżycielom, a zelżeni nie powtarzają codziennie: *I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy winowajcom naszym*, krwią tylko zmazywać się na tym świecie zwykły...

Ale zostawmy dotkniętym osobom staranie o zdemaskowanie spokojnie i stanowczo przed krajem charakteru i sprawek pewnej spółki, która się Kościołowi i narodowi polskiemu narzuciła. Kwestye osobiste, które O. Morawski tak nieostrożnie i niewcześnie porusza, nie mogą być zadaniem korespondenta *Gazety Narodowej*. Na osobiste oskarzenia, przycienione przejrzystemi aluzyami, osobistych także potrzeba odpowiedzi ze strony osób, które szanowny krakowski publicysta mniema odgadywać pod moim znakiem (X). Do korespondenta one nie należą. Winienem więc tylko rzucić tu parę spostrzeżeń o artykule czcigodnego Ojca.

I któżby powiedział, że będę przyrównany do Naumowicza za to, że twierdziłem, iż mój naród powinien odwiecznych praw swoich nawet wobec Stolicy św. bronić? Widocznie szanowny O. Morawski zimną krew traci, kiedy się podobnych zestawień dopuszcza! Życzy on sobie, aby naród polski owczym trybem, jak stado jagniąt pędzonych do jatek, nie upominał się w uroczystych chwilach dziejowych przesileń, niewymownego niebezpieczeństwa, o prawa przyznane mu przez samą Stolicę Apostolską i przysługujące mu od wieków. Któż więc przemówi za nim, jeżeli sam będzie milczał? Naród nie jest bractwem duchownem, zgromadzeniem zakonnem, zniewolonem ślubami do ślepego posłuszeństwa kościelnej władzy w rzeczach po za obrębem tej władzy leżących. Ma on także prawa cywilne i polityczne, potrzeby obywatelskie, interesa świeckie, obyczaje wiekami uświęcone i zamienione w skład jego ziemskiej wiary, z których się wyzuwać i których się wyrzekać nie zdoła bez popełnienia narodowego samobójstwa, równającego się występnością samobójstwu jednostek, które Kościół przecież potępia wtedy nawet, kiedy samobójca błędnie mniema, że odebraniem sobie życia dostąpi królestwa niebieskiego. Stolica św. uwzględnia, szanuje, pielęgnuje tę świętą indywidualność zbiorową, zwaną narodowością, a której udzielność państwowa jest najwyższym wyrazem. Świadczy o tem wielość narodowych obrzędów w łonie katolickiego Kościoła i troskliwość kościelnej zwierzchności o ich utrzymanie. Na doskonałej więc równowadze i harmonii praw religijnych z narodowemi i cywilnemi polega pełnia normalnego rozwoju wszelkiego społeczeństwa. Polska zaś cudownem i niemal jedynem zrządzeniem Opatrzności, ulegając nawet obcej przemocy, nie zaznała nigdy wewnętrznego rozbratu i antagonizmu między narodowością a religią, między państwem a Kościołem, między pojęciem ojczyzny i uczuciem patryotyzmu a pojęciem i uczuciem wiary, jaki stał się właśnie plagą innych Europy krajów. Czyliż mamy więc dzisiaj sztucznie u siebie ten antagonizm wytwarzać i ucinać dobrowolnie kędziory nieszczęśliwemu Samsonowi kwoli pragnącym go osłabić Filistynom, którzy zdumieni tą niepojętą siłą, nie wiedzieli dotąd jak jej podołać, i teraz dopiero docieklі, na czem jej tajemnica polega?

Wrogie Polsce gabinety, jeden prawosławny, drugi protestancki, pragną bądź co bądź dokonać tego u nas rozdziału, stworzyć ten zabójczy antagonizm, do którego polityka O. Morawskiego wprost im toruje drogę, i postanowiły w tym celu użyć podstępnie samego Papieża. Mieć Ojca św. wspólnikiem morderstwa polskiej duszy byłoby arcydziełem szatańskiej przebiegłości naszych wrogów! Za Piusa IX. było to niepodobieństwem, albowiem znakomity ten Papież nie był wcale dyplomatą, miewał młodzieńcze i rycerskie porywy, znał daleko lepiej polski naród, pamiętał Adama Mickiewicza, opowiadał historyczne jego posłuchanie, i wbrew wszystkim listom otwartym nieboszczyka jenerała Zmartwychwstańców Kajsiewicza, nie dał się nigdy przyciągnąć na stronę Stańczyków i nieprzyjaciół Polski. Owszem, na wzór nieśmiertelnego swego poprzednika Klemensa XIII. nakazał publiczne w Rzymie modły i procesye za Przedmurzem chrześcijaństwa w 1863 r. Ale teraźniejszy Papież, czterdzieści lat z okładem spędziwszy na odosobnionej dotąd od żyjącego świata perużańskiej górze, oddawał się tam wyłącznie studyom teologicznym i filozoficznym, Summie św. Tomasza i rymotwórstwu, nie zajmował się wcale historyą, polityką i zagadnieniami teraźniejszości, i nie miewał przytem nigdy najmniejszego z Polakami stosunku. Wnet zaś po wstąpieniu jego na tron napływać zaczęli do Rzymu i do Watykanu różni moskiewscy wielcy książęta, ożywieni dziwnym do Głowy katolickiego Kościoła zapałem, tudzież moskiewscy dyplomaci, cudną udarowani wymową. Znane są także umizgi żelaznego kanclerza do Ojca św. i poufałe z Jego Świątobliwością pogadanki arcyzręcznego pruskiego posła p. Schlözera o W. księstwie Poznańskiem i o Polakach. Wiele osób do Watykanu zbliżonych utrzymuje nawet, że chytry rycerz milicyi Chrystusowej, godząc przedewszystkiem w polską duszę, którą chce osłabić i zdmuchnąć jak świeczkę, użył Towarzystwa, do którego, jeśli się nie mylę, O. Morawski należy, stawiąc mu za warunek i za wrota pożądanego do Prus wstąpienia wyjednanie u Papieża zniesienia odwiecznej hierarchii polskiego Kościoła w osobie jego prymasa. *Societas Jesu* miała przyjąć takie *do ut des* i uzyskać warunek wraz z odnową swoich przywilejów, do której, skoro ręka rękę umywa, krzyżacki rycerz miał jej wzajemnie dopomódz. Na miejscu O. Morawskiego wystrzegałbym się więc taką nierozważną polemiką, jak raz w bismarkowskim duchu uwierzytelniać między Polakami tej — jak przekonany jestem — czarnej potwarzy na synów św. Ignacego Lojoli.

Przecież ani ja, który właśnie dla tego, że jestem Polakiem, katolikiem dzięki Bogu być nie przestałem, ani żaden światły człowiek, nie rozciąga dogmatycznej i moralnej nieomylności Najwyższego Pasterza do kwestyi tego świata, względny i zmienny charakter mających. Sąd Ojca św. gruntuje się w nich na wiadomościach i danych z czysto ziemskich zaczerpniętych źródeł. Papież nie może być nieomylnym w sprawie już nie zasad, ale ich praktycznego i ludzkiego zastósowania, którego trafność i zbawienność lub też szkodliwość zawisły częstokroć od uwzględnienia wielu miejscowych warunków. Cóż dopiero, kiedy jest systematycznie oszukiwany przez urzędowych przedstawicieli dwojga mocarstw, a utwierdzany w błędzie przez naszych rzymskich rodaków, którym o Polskę jako taką wcale nie chodzi? Każdemu bowiem oswojonemu z Rzymem znana jest patryotyczna powaga i wartość stańczykowskiej koteryi, dawniejszej i teraźniejszej, duchownej i świeckiej, która pośredniczy między Papieżem a naszym krajem. Patryoci zaś tacy jak ks. arcybiskup Feliński lub ks. biskup Krasiński nie zagrzali tutaj miejsca.

Gdyby nawet koterya owa pomiataniem odwiecznych polskich ideałów w uczynku wtedy nawet, kiedy platonicznie do nich wzdychać się zdaje, nie potwierdzała uzyskanego miana rzymskiej Targowicy, to już samo wyznawanie takich zasad jak te, których O. Morawski stał się rzecznikiem w swoim artykule, wystarczałoby, aby cały naród przeciwko niej oburzyć. „Ale czy te szczegóły — powiada on — to jest pojedyńcze Stolicy św. kroki, dogadzają naszemu sądowi i upodobaniu, czy nie dogadzają, w żadnym razie nie możemy warunkować ani targować naszej uległości, — bo nie stoimy na gruncie Naumowicza — i w każdym razie powinniśmy zaufać tej najdobroczynniejszej w świecie władzy, bo wieki jej dają świadectwo, a Opatrzność ma z nią przymierze.“ Milczeć więc potrzeba nietylko po szkodzie, ale i przed szkodą, nie odzywać się, chociaż sam Ojciec św. z tem się słyszeć dawał, iż pragnie być oświecanym przez kraj nasz w kwestyach, co kraju tego dotyczą... Czyż O. Morawski żartuje sobie z narodu, nakazując mu milczenie, jak szkółce niegrzecznych dzieci? *Habemus* zaiste *confitentem reum!*

Czegóż bowiem więcej oba na zgubę naszą spiknione gabinety wymagać mogą od nas, jak owej biernej, milczącej, owczej uległości, jak tego bezwarunkowego poddawania się z góry wszystkiemu, co same Papieżowi poradzą, wówczas gdy usiłują tak zgubne dla nas przeprowadzać plany, jak zniemczenie polskiego Kościoła albo jak zastąpienie języka polskiego moskiewszczyzną w tymże Kościele?

Otóż w podobnych kwestyach świętym jest, powtarzam, dla narodu naszego obowiązkiem głos jednomyślnie zabierać, wołać, błagać, protestować, właśnie dla przeszkodzenia owej rozpaczliwej i strasznej ostateczności narodowego Kościoła, od której każdy z nas powinien owszem ziomków swych odwracać, choć stańczycy prą ich ku niej. A jednak niech O. Morawski nie zapomina, że owa pogróżka, co mu się tak niegodziwą wydała w ustach owego korespondenta *Gazety narodowej* z 1870 r., z którym ja nie mam nic wspólnego, znalazła się przecież w głosie biskupów austryackich i niemieckich w 1848 r., kiedy Włosi chcieli, aby Papież jawnie stanął na czele ich pospolitego przeciw Austryi ruszenia. Ś. p. O. Angustyn Theiner, sławny *Societatis Jesu* przeciwnik, sam mi niegdyś pokazywał prywatne, własnoręczne z owych czasów Piusa IX. pismo, nadmieniające o schyzmie, jaką zaalpejscy biskupi mu grozili. O. Morawski gdyby był Papieżem, byłby zapewne mężniejszym wobec biskupów polskich, i kazałby im milczeć jak dziś narodowi.

Atoli Polacy nie odszczepieństwem grozić, jak austryaccy pasterze, ale błagać i wołać wielkim głosem powinni. Gdyby zamiast zgubnej polityki O. Morawskiego wszyscy niedawno zgodnie i odważnie zawołali byli zawczasu do Papieża, nie byłoby przyszło zapewne do obsadzenia Niemcem stolicy naszych prymasów,

---

czeniu. W pół godziny po wejściu na główną salę zwrócił już na siebie uwagę całej tej szalejącej rzeszy, a dopomagała mu do tego głównie jego zręczność gimnastyczna, z której słynął. Szalone skoki, wspinanie się z zręcznością kota po słupach do galeryi i lóż, cięte ataki na zamaskowanych obojga płci, na znane osobistości i wielkie powagi, wyniosły go jakby na króla tego balu błazeńskiego. Najciętsze języki stawały z nim do szermierki, lecz gdy nasz „prezes waryatów“ się odciął, to atakujący zmykał jak zmyty, a zgiełk homerycznego śmiechu rozlegał się po całej sali. Pomimo wybornej maski domyślano się wkrótce, że to nikt inny być nie może, jak tylko Polak-akademik, „prezes waryatów.“

O północy otrąbiono spoczynek. W mgnieniu oka wniesiono ogromne stoły, setka kelnerów roznosiła półmiski i butelki, zaczęto krzepić siły do dalszej walki błazeńskiej. Rozpoczęły się toasty i mowy okolicznościowe, dźwięczące humorem, a gdy nasz „prezes“ wyrwał się z toastem, cała sala krzyknęła: — „Der Narrenkönig auf den Tisch! — Rede halten!“

Tu już nie pozostało innego wyboru naszemu „prezesowi waryatów,“ jak się do tej powszechnej woli zastósować.

Z zręcznością wiewiórki wyskoczył na stół, a potrząsłszy błazeńską czapką z dzwonkami, powitał swój naród.

Grzmoty oklasków odpowiedziały mu na to powitanie. Król się kłania z komicznie majestatyczną powagą, co już samo pobudza rzeszę do szalonego śmiechu. I znów okrzyki: — „Rede halten!“ Dodać i to winniśmy, że nasz „prezes acz szczupły i drobny na oko, ale miał silnie rozwiniętą pierś i władał jak dzwon czystym głosem kontrabasowym.

Zaczął mówić:

— „Meine Herren! — pauza i grzmoty oklasków. — „Wy moiście niezrównani i prawdziwi błaźni! — Meine Herren! — (grzmoty oklasków) — cóż to za piękne stado bydełka widzę przed sobą, jakżeż się oko moje i serce raduje! — Meine Herren!“ (brawo! brawo! brawo! i znowu grzmoty oklasków).

I w ten sposób mieszając „meine Herren,“ przyczem raz po raz uderzał się ręką o serce, mówił „prezes“ blisko dziesięć minut, gadając Niemcom nawet największe impertynencye, kpiąc i drwiąc z nich.

Trudno opisać rzeczywiste przerażenie kilkudziesięciu obecnych kolegów Polaków, gdy się zdawało nieuniknionem, że którykolwiek Niemiec, znający polski język, skoczy na stół, lub rzuci mu w twarz butelką, a potem zostanie ściągniętym i zmasakrowanym. Prawda, że zwroty mowy jego były bardzo zręczne, ale przecież tak zrozumiałe, iż zdawało się niepodobieństwem, aby na dwa tysiące obecnych osób, w Wrocławiu, gdzie język polski był dość upowszechniony, nie znalazło się chociaż kilku ludzi, którzyby zrozumieli drwiny z Niemców.

Nasi akademicy mieli przynajmniej tyle przytomności, że się prawie gwałtem przeciskali ku tej improwizowanej na stole trybunie, aby w danym razie bronić go od poniewierki.

Do tego niebezpieczeństwa jednakowoż nie przyszło; przeciwnie, entuzyazm rósł jak fale morskie. Po ostatniem „meine Herren“ i ostatnim nawet dosyć tłustym frazesie porwano go na ręce, obnoszono przy tryumfalnym marszu muzyki po sali i salach, a na cześć jego strzelały całe baterye szampanek.

Gdy na drugi dzień przyszło go odwiedzić kilku kolegów, „prezes waryatów“ siedząc jeszcze na łóżku z założonemi rękami, rozpamiętywał to co zrobił i sam się nie mógł wydziwić, że mu to uszło na sucho.

(Ciąg dalszy nastąpi).

gdyż tu o utrzymanie zasady, której Stolica św. wytrwale zwykła bronić, przedewszystkiem chodziło. Jak się zaś lud Wielkopolski zapatrywał na tę sprawę, a było to zapatrywanie zdrowe i wielce różne od poglądu rzymskiej koteryi polskiej, dowodził tego najlepiej zapóźno niestety! odebrany w Watykanie adres wieśniaczy dwunastu miejscowości w Poznańskiem do Ojca św. Jednakowoż skoro się już stało i zasada naruszoną po raz pierwszy została dzięki naszej gnuśności, to czekając nowego Opatrzności rozporządzenia, możemy mieć w Niemcu Dinderze przychylniejszego, któż wie? Polsce prymasa niż niejeden Polak z urodzenia, byle Polacy Niemca pilnowali bez owczej uległości. Ale rzecz się ma inaczej tam, gdzie chodzi o język polski w katolickim Kościele pod moskiewskim rządem, a w tym razie polityka bierności i skruszonego służalstwa przez O. Morawskiego zalecona, byłaby po prostu nikczemnością i występkiem. Ojciec św. powinien wiedzieć, że natrafiłby tutaj na jednomyślny i energiczny narodu całego opór, gdyby uchowaj Boże! jakiekolwiek ustępstwo w tym względzie chciał dyplomacyi carskiej uczynić. Nie doradzam zaiste schyzmy, jak tylko zła wiara może mię posądzać o to, ale życzę, aby ziomkowie moi duchowni i świeccy, szczerze kochający ojczyznę, myśleli częściej o oświecaniu Papieża, który sam tego pragnie, aby mieli więcej inicytywy i śmiałości, nie spuszczając się na orędownictwo O. Morawskiego et consortes, na którem kraj nasz ślicznie dotąd wychodzi, jak to się okazuje z poznańskiego przykładu! Nie niestety! usiłowania dyplomacyi moskiewskiej przeciw polskiemu językowi nie są moim wymysłem, jak to mój przezacny krytyk dowodzi, dziś jutro mogą się powtórzyć, czujność z naszej strony jest więc niezbędną, a O. Morawski powinienby mi raczej dziękować za ostrzeganie, jak szczuć przeciwko mnie.

Co się zaś tyczy spraw tutejszych, jest obowiązkiem prawdomównego i sumiennego sprawozdawcy bezstronnie i całkiem objektywnie na nie się zapatrywać, bo tu o Polskę nie chodzi. Rozsądny, uczciwy, chrześcijański pisarz nie może bredzić jak pewne klerykalne pisma. Złota, powtarzam wolność włoska jest nieograniczoną: ma ona ogromne korzyści, ale zarazem wielkie wady i niedostatki wszelkiej wolności, a mianowicie walkę stronnictw, zupełną swobodę słowa tak dla złych jako i dobrych, niepodobieństwo uprzedzania radykalnych objawów. Dwie tylko są osoby nietykalne podług ustaw: Król i Papież, a dla reszty istnieje zupełna równość wobec prawa. Nie ma cenzury, przywilejów, policyi na rozkazy każdego dostojnika; po za obrębem Watykanu wszystkie nawet religie i opinie mają zupełne równouprawnienie, a duchowieństwo katolickie musi walczyć jedynie słowem i przykładem. Dawniej n. p. dość było szanownemu O. Morawskiemu przesłać monsignorowi ministrowi policyi artykuł swój przeciwko korespondentowi *Gazety Narodowej* z oskarzeniem go o wspólnictwo z Naumowiczem i o podjudzanie Polaków do schyzmy w 1870 r. bez bliższego sprawdzenia tożsamości, sama kościelno-rządowa powaga wielebnego Ojca Morawskiego wystarczała — jak to się gdzieindziej udowodni — aby tegoż korespondenta *Gazety Narodowej* bez sądu i wbrew jego zaklinaniu się, że nie zna Naumowicza i że do waszego dziennika w 1870 r. nie pisywał, wywieziono niezwłocznie jako brzuchomówcę za granicę państwa kościelnego. Było to niesłychanie wygodnem dla stańczyków, ale dziś niestety! niemożliwem się stało: bez sądu ani rusz. „Szalejące w całych Włoszech orgie antireligijne“ bardzo zresztą skromne jak na „orgie“ i których szalenie ogranicza się na mityngowych mowach, którym urzędnik policyi przy szarfie kładzie koniec, kiedy się gwałtownemi stają, — orgie te właśnie są odwrotną, ujemną stroną wolności. Zapewne szanowny Ojciec poradziłby jedynè skuteczne na nie lekarstwo: ściśnienie konstytucyi i przywrócenie dawnego rządu, ale Rzymianie i Włosi gotowiby go nie usłuchać. Spalenie portretu Leona XIII. przez ulicznikow, o którem O. Morawski wspomina, zdarzyło się w Górnych Włochach i sprawcy ukarani zostali więzieniem, w Rzymie zaś wzorowy porządek panować nie przestawał.

Demonstracye anti-klerykalne wywołane — powtarzam — zostały, wszak same to ciągle głosiły, ale brzuchomówca to zapewne w nich się odzywał, skoro „on to wykrył“ — przywróceniem przywilejów jezuitom, zakazem udziału w wyborach do parlamentu, który z przeproszeniem O. Morawskiego nigdy nie był wyraźnym i teraz nawet jest dziwnie elastycznym, i odebraniem patronatu królowi włoskiemu jako następcy króla obojga Sycylii i innych książąt wypędzonych przez naród. Nigdy nie chwaliłem szykan, jakich minister Tajani, nastraszony wrzaskiem radykałów i wolnomularzy, dopuszczał się w Neapolu i w Toskanii przeciwko zakonnicom, zamieszkałym w rządowych gmachach. Przypłaci on wkrótce tę powolność wystąpieniem z gabinetu. Ale szykan tych przy najlepszej chęci podnosić nie można do rozmiarów prześladowania. Wystarcza bowiem zakonnicom przenieść się do nierządowego gmachu, aby ujść wszelkiej kontroli i używać nieograniczonej swobody. Po za obrębem rządowych gmachów nigdy zgromadzenia zakonne męzkie i żeńskie nie były w tak kwitnącym stanie w Rzymie jak dzisiaj. Dość spojrzeć na pałace, jakie zewsząd tu budują lub nabywają za miliony. Zakony te, nie wyjmując jezuitów, są nawet swobodniejsze pod rządem włoskim niż były pod rządem papiezkim, i kwestura włoska nie mogłaby już dzisiaj aresztować na ulicy prowincyała kapucynów za zbyt liberalny adres do Ojca św., jak to uczyniła przed kilkunastu laty policya rządu papiezkiego, której pojmuję doskonale, iż żal bardzo szanownym przyjaciołom polskim O. Morawskiego we wiecznem mieście! Wówczas wygnanie z Rzymu, bodaj i innej osoby jak winowajca, bywało ostatnim argumentem *Tygodnika katolickiego*, i przeto serdecznie ubolewam, że *Przegląd powszechny* nie może już wstępować w ślady nieodżałowanego prałata Koźmiana. Co się zaś tyczy pokojów św. Stanisława Kostki, to szanowny mój krytyk widzi dobrze, iż pomimo „zaczepek Watykanu,“ i następstwa onych, to jest rozjuszenia radykalizmu, pomimo nawet smutnych artykułów z pod polskiego pióra w radykalnej *la Riforma* przeciw św. Stanisławowi, których zapewne pełni wdzięczności Ojcowie polscy nie omieszkają położyć na karb zwykłego brzuchómowcy, — pomienione pokoje dzięki szlachetności i wspaniałomyślności króla Humberta, ocalone ostatecznie zostały. Wartoby to w Krakowie zanotować.

X.

Nowe spółki rękodzielnicze

w Bystrzycy (Siedmiogród) na Węgrzech)

(Dokończenie).

Aczkolwiek podaliśmy w skróceniu organizacyę powyższych spółek, to jednak nie wystarcza to, aby poznać ducha i doniosłość takowych.

Poznawszy mnóstwo rozmaitych spółek i stowarzyszeń, nietylko w ziemiach polskich ale i w ościennych krajach, przychodzimy do przekonania, że tylko spółki bystrzyckie, szczególniej dla rękodzielnictwa polskiego, mogą wydać zbawienne owoce.

Być może, że komuś organizacya tychże może się zdawać za surowa, za despotyczna, lecz jeżeli się znowu rozważy, ile to usiłowań spółkowych zeszło na marne, ile stracono ciężko zapracowanego grosza, poskładanego na udziały, — to trzeba nareszcie przyjść do przekonania, że tylko wszechwzględna karność i jasno postawione obowiązki mogą postawić spółki rękodzielnicze na ich właściwem stanowisku.

Z tego stowarzyszenia wynika, że spółki dwóch, trzech, zakładane nawet odpowiednimi kapitałami, nie mogą doprowadzić do takich wyników, jak system spółek bystrzyckich, a to z tego powodu, że spółka dwóch lub trzech, chociaż zasobna w kapitał, nie podda się takim dosłownym warunkom, jest liczebnie za słaba co do sił zarządu, a pomyślawszy dokładniej, warunki te w małej liczbie członków nie są wykonalnemi i nie dadzą się żadnymi płatnymi urzędami niećzłonków zastąpić. Dopiero Towarzystwo, składające się co najmniej z kilkunastu członków, w którem na czele każdego specyalnego działu pracy stają sami majstrowie, co są członkami towarzystwa, a ci poddani są jeszcze pod ścisłą kontrolę, wtenczas dopiero można uzyskać mniejszą lub większą pewność, że praca będzie jednolita i posiadająca prawidłowe warunki zbytu.

Do tych warunków przyczynia również to głównie, że te pojedyncze warstaty nie są rozrzucone po domach i mieszkaniach pojedynczych członków, ale umieszczone są razem. Zdaniem naszem takie zgromadzenie warstatów pod jednym dachem obliczone jest głównie na słabości ludzkie, bo usuwa wszelkie zachcianki partactwa czyli fuszerki, a toruje drogę do zaufania publicznego. Przypomnijmy sobie niedawną a nawet bardzo świeżą walkę i starania naszych szewców, rymarzy i siodlarzy, którzy usiłowali i słusznie objąć chociaż część dostaw dla armii.

Nie zaprzeczamy, że zachłanność wielkich producentów i dostawcow robiła ze swej strony największe wysilenia, aby nam się ta praca nie dostała w udziale. Pytanie jednak, czyby zwycięstwo nie było po naszej stronie, gdybyśmy dla szewstwa, rymarstwa i siodlarstwa mieli byli chociaż w kilku głównych punktach Galicyi takich stowarzyszenia czyli spółki rękodzielnicze, zaprotokołowane tychże firmy, urządzone wspólne ogniska pracy, któreby posiadały wszelkie warunki fabryk, bo zaopatrzone we wszelkie pomocnicze machiny i narzędzia, a jednak byłyby to tylko zszeregowane warstaty.

Chlubną była i zaszczytną wprawdzie ta walka całej legii pracowników, lecz dziś rozważywszy spokojniej całą tę sprawę, albowiem wyrwano nam wielki kęs chleba, któryby był setki zgłodniałych rodzin nakarmił i dał im byt chociaż czasowy, to jednak wielkie pytanie, czy sposób, w jaki się miały te dostawy wykonywać po licznych rozrzuconych warstatach, przy znanych nawyknieniach majstrów, które się stały prawie drugą naturą produkcyi partackiej, czy zamiast pięknych nadziei, nie byłaby nastąpiła nie tylko moralna, ale i materyalna strata?

Gdybyśmy wtenczas byli posiadali takie ogniska stowarzyszonej pracy jak w Bystrzycy, nie byłoby najmniejszej wątpliwości, że ministeryum wojny musiałoby się było przychylić do naszych słusznych żądań.

U nas wprawdzie obecnie, gdy się już bieda i nędza leje strugami za kark, zaczynają się wprawdzie jednostki budzić ze snu i oprzytomniać, a bacząc na przysłowie, że „gromada to wielki człowiek,“ wiążą się w spółki do pracy. Nie szukając dalej, mamy już we Lwowie różne spółki, pomiędzy któremi jest najpoważniejszą „Spółka stolarzy lwowskich.“ To jedno Towarzystwo, przyznać trzeba, walczy wytrwale, pilnuje czci swojej jak może, a pomimo to — wegetuje tylko i nieraz musi czynić wielkie wysiłki, aby się utrzymać na nogach.

Dlaczego?

Odpowiedź łatwa. Jest tam zacność i poczucie obywatelskie, jest umiejętność pracy, ale brak organizacyi odpowiedniej, brak głównych środków, ułatwiających pracę, gdyż trudno żądać, aby każdy pojedynczy, chociaż zamożniejszy warstat stolarski, posiadał podręczne machinki czyli narzędzia, ułatwiające znacznie roboty stolarskie i oszczędzające bezpotrzebnie i bezkorzystnie zużywaną siłę robotnika.

Dawniej można się było obyć bez takich pił cyrkularnych, wiertarń, żłobników itp., jak długo nie potrzeba było walczyć o każdą godzinę szybszej pracy, aby chociaż jeden grosz więcej wyzyskać i wytrzymać współzawodnictwo z zagranicznym najazdem. Stolarze nasi gdyby byli najzdolniejszymi, najpilniejszymi i najwytrwalszymi w pracy, nie wytrzymają tej konkurencyi, jeżeli nie połączą się pp. majstrowie pojedynczych warstatów w takie Towarzystwa jak bystrzyckie, gdyż te im tylko dadzą możność założenia odpowiednich składów materyalnych drzewnych i utrzymywania do wspólnego użytku głównych pomocniczych maszyn i przyrządów stolarskich. Wtenczas jedynie nastąpi oddziałowy podział pracy w produkcyach stolarskich, tj., że każdy majster w wspólnym warstacie będzie miał tylko pewną ilość wyrobów, do których on i jego pomocnicy nabędą szczególnej wprawy i szybkości dobrej produkcyi.

Wtenczas stolarstwo nasze stawić będzie mogło czoło wszelkiej obcej konkurenyci, wiedeńskiej czy jakiejkolwiek innej, a tak szkodliwej dla kraju.

Wtenczas praca chociażby najmozolniejsza, nabędzie wdzięku, rozwijać się będzie umysł, a postęp produkcyjny zamieni się w szlachetny zapał, bo pojedynczy majster nie będzie myślał nad tem i suszył sobie głowę, jak zdobyć grosz, aby zań kupić niezbędny materyał, narzędzie, wypłacić robotnika, nakarmić i przyodziać rodzinę i siebie, — a co więcej i ważniejsze, uwolni się od podpisywania weksli i pracowania głównie na lichwiarzy i wyzyskiwaczy wszelkiego rodzaju. Nie będzie się troszczył o zbyt wyrobów, cena jego zarobku tygodniowego w warstacie będzie mu wypłaconą, a z głównych zysków będzie mógł czerpać w każdym czasie i w każdej ważniejszej potrzebie.

To cośmy powiedzieli o stolarstwie, dotyczy każdego prawie innego działu rękodzielniczego, bo gdziekolwiek rzucimy okiem, pomimo że nasze rękodzielnictwo posiada fachową wiedzę i zręczność, wypychane jest przez obczyznę.

Mamy naprzykład dzielnych blacharzy, i zebrałaby się liczba do wspólnej pracy obronnej, lecz rozrzuceni po pojedynczych warstatach, zaledwie jakąś cząstkę zdołają utrzymać we własnym ręku.

Tak się dzieje ze ślusarstwem, kowalstwem, bronzownictwem, rymarstwem i siodlarstwem, szczotkarstwem i całym szeregiem innych działów rękodzielniczych.

Dziś nasi rymarze, siodlarze, blacharze i inni, są tylko po prostu przekupniami w własnym fachu wyrobów obcych.

Wprawdźie odważniejszej natury krawcy i szewcy już niejednokrotnie zawiązywali się i zawiązują w spółki, lecz że organizacya tychże jest wadliwa i nieodpowiednia, nie zabezpieczająca prawidłowej sumiennej pracy, — nie może mieć ani odpowiedniego kredytu, bo przy urodzeniu swem nie daje warunków żywotności, a tem samem zaufania; gdy już z góry bywa pominiętą niezbędna karność, to nie dziw, że takie chorobliwe porody nie wyrabiają sił żywotnych, ale już w pierwszej chwili przewidziany skon.

Kończąc nasze poglądy, musimy jeszcze raz zwrócić uwagę na najcieplejszy promień słoneczny, jaki ożywia spółki bystrzyckie, a promieniem tym jest ta pielesza, która nie rozbija ani nie gasi ogniska domowego, nie zabija rodziny i nie dąży do zabójczych mrzonek przewrotu społecznego. Spółki takie nie burzą najkardynalniejszego prawa natury ludzkiej, bo nie walają w otchłani demoralizacyi osobistej.

Prawda, organizacya takich spółek nie może się jednak podobać, bo dla nałogowego leniucha, pijaka i kostery nie ma w takich stowarzyszeniach miejsca, jak długo nie zerwie z tymi nałogami i nie stanie się godnym towarzyszy fachowej pracy.

Czy jednak takie wymagania w organizacyi stowarzyszeń są słuszne lub nie, — niech sobie szanowny czytelnik sam rozważyć zechce, pytając się własnego sumienia.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Z widnokręgu politycznego.

Pomimo doniesień ze wszystkich stacyj meteorologiczno-politycznych, o podnoszeniu się barometru pokojowego — niewiara ludzka opierając się znowu na innych realniejszych faktach, a bijących rzeczywiście za jaskrawo w oczy, nie chce się w żaden sposób pozwolić ukołysać do snu błogiego. Być może, że i dziś jeszcze może stać się cud, i chociaż na czas krótki nie zagrzmią trąby wojenne wzywające do śmiertelnych zapasów. Zaiste — ten odpoczynek byłby pożądany. Czy go jednak nasze nawet najgorętsze życzenia zdobędą? Tak więc w każdym razie wszelka ostrożność nie zawadzi. Gotowość na najgorsze złe — oto obowiązek, jaki rozum i zimna rozwaga wskazują. Dziś zresztą wypadki, które się codziennie rodzą, nie wskazują już na możebną wojnę jedynie pomiędzy Austryą a Rossyą, Francyą a Niemcami, ale plac boju zarysowuje się w całej Europie. Wskazówki takie tem większą nakazują baczność.

Nie naszą rzeczą, mianowicie w piśmie dwutygodniowem, przeżuwać i podnosić szczegóły, jakimi wszystkie dzienniki są zapełnione, a które mimowoli nawet w najtępszej głowie budzą myśli, które nie licują z pokojem; pozostawiamy te łamigłówki na uboczu, a sami, gdyby widoki pokojowe były jeszcze pełniejsze nadziei, patrzymy na okół siebie, jakie należy przysposobić pogotowie na wszelki wypadek.

Donieśliśmy w przeszłym numerze, jaką otuchę wlała ustawa o pospolitem ruszeniu. Dziś możemy pójść krok dalej i wskazać, jakie to wyraźniejsze myśli budzi ta ustawa i możebna wojna z Rosyą.

Zamieszczamy choć jeden list dosłownie, nadesłany nam przez naszego prenumeratora, a takich listów odebraliśmy kilkanaście z rozmaitych stron kraju. Głosów takich nie można lekceważyć:

Tarnobrzeg 7. Lutego 1887.

Szanowna Redakcyo!

„Pierwsza wieść o organizacyi pospolitego ruszenia, wywołała w mej piersi odgłos: „Hannibal ante portas!“ — Mam lat 54, obarczony dziećmi, piastuję urząd i mam gospodarstwo, pomimo takich krępujących ciężarów nie namyślałem się ani chwili, lecz przesłałem deklaracyę do komendy wojskowej, że wstępuję na ochotnika do pospolitego ruszenia. — O rycerski narodzie, drzemiący w letargu! Już wschodzi jutrzenka — zrywaj się ze snu na równe nogi i chwytaj za broń! Nie czekajmy, aż nam kapral zakomenderuje: „marsch!“ — albo powie: „ladet!“ Ćwiczmy się sami w strzelaniu i użyciu ręcznej broni, a doda nam to większej odwagi.

Gdzie tylko znajduje się jaka pukawka, wydobyć, oczyścić, a w każdej wsi i w każdem mieście w niedzielę po południu, niechaj się odezwą celne strzały, niechaj się oswoi z nimi ucho, których chociaż parę niech zrobi każdy, od 12-letniego chłopca zacząwszy, a każda kuźnia niechaj się zamieni w arsenał, wyrabiający ręczną broń, w którą wszyscy bez różnicy płci i wieku zaopatrzyć się powinni, a kiedy staniemy w takiem pogotowiu, oczekiwać będziemy nieprzyjaciela z gorącem upragnieniem, jakoby gościa na weselne gody. — Broń w ręku, koń pod sobą, dodają odwagi, a przed odwagą niebezpieczeństwo znika. Stańmy się wielkim obozem, a dawna nasza rycerskość ocknie się i przywróci nam przyćmioną sławę u innych narodów.

Galicyo! — mały kraiku! — stań w takiem łącznem pogotowiu, a wielki i groźny nieprzyjaciel uchyli czoła przed tobą.

Nie mówmy „niech idą ci, co są powołani,“ ale ruszmy wszyscy na ochotnika, a wtedy słowo: „*Najjaśniejszy Panie, stoimy obok Ciebie,*“ stanie się czynem i nauką dla nieprzyjaciela, jaką to ma wartość — mieć Polaków sprzymierzeńcami.“

Jak to już wyżej powiedzieliśmy, głos ten, pochodzący z piersi patryoty, zamieszkałego na partykularzu pogranicznym, nie jest odosobniony, ale odzywający się coraz głośniej, coraz świadomiej, czego mu potrzeba, a takie głosy świadczą wyraźnie o niespożytości ducha narodowego.

Tak samo ze Lwowa jakoteż z prowincyi, moglibyśmy przytoczyć mnóstwo nazwisk ludzi inteligentnych, żyjących w bardzo przyzwoitych warunkach, którzy już ze swego stanowiska mogliby na czas powołania pospolitego ruszenia, znaleźć sobie wygodne i bezpieczne kąciki. Ci jednak pojmują swoje obowiązki inaczej, zapisując się na kandydatów oficerów do pospolitego ruszenia i już dziś pilnie wertują Regulamina służby wojskowej czynnej. Naturalnie, że taki przykład oddziaływać musi dodatnio na ducha mniej odważnych.

Aczkolwiek nie do nas należy dawać, a tem mniej narzucać wskazówki odnośnym władzom, jak ma być pospolite ruszenie zorganizowane, i do tego nie rościmy sobie prawa, to jednak korzystamy z prawa, przysługującego każdemu konstytucyjnemu obywatelowi i notujemy tu poglądy, jakie się w coraz poważniejszych kołach słyszeć dają.

I tak:

Jest prawie powszechnem życzeniem obywateli świadomych doniosłości pospolitego ruszenia:

aby jak najspieszniej mogła wejść ustawa w życie czynnie, przez zwołanie na plac każdego okręgu chociaż tylko „pierwszego powołania,“ oraz „ochotników“ i z tej massy wybrać bataliony, któreby największej siłami fizycznemi i postawą były zbliżone do wojska regularnego.

Jest to żądanie słuszne, gdyż dopiero na placu zbornym będzie można ocenić wartość osobistą każdego „pospolitaka.“

Tak zebrane bataliony wzywać dwa razy, a przynajmniej raz tygodniowo do ćwiczeń praktycznych, niezbędnych, chociażby czasowo bez broni. Urządzić niedzielne strzelnice, w którychby pospolitacy mogli się wprawiać w obchodzeniu bronią przy strzelaniu.

Gdy zaś jest pewnikiem, że oprócz obowiązanych do pospolitego ruszenia, kraj dostarczy poważne zastępy ochotników od 17—19 roku życia i znowu od 43, to byłoby pożądanem, aby i do takiej ewidencyi przystąpiono.

Ze względu na położenie geograficzne Galicyi, mianowicie w czasie możebnej wojny, są w obiegu jeszcze inne myśli, a być może że uzasadnione, odnoszące się znowu do pospolitego ruszenia. Zachodzi albowiem pytanie, czy pospolite ruszenie, zwołane w nagłej chwili, będzie miało tyle czasu, aby zorganizowane i uzbrojone mogło skutecznie wystąpić na linii bojowej.

Jeżeli zechcemy przypuścić, że te warunki dokonane w części wystarczają, to jednak trudno żądać, aby takie zastępy były połączone tym klejem łączności i wytrwałości, oraz oporu, gdy przewaga przeciw nim wystawiona przez nieprzyjaciela, zanadto je zacznie cisnąć. — W takim wypadku o nic tak łatwo, jak zamiast o porządny odwrót, o sromotną ucieczkę.

Takim wypadkom można jeszcze zapobiedz, jeżeli te massy niewyrobionego jeszcze żołnierza, — szczególniej, jeżeli im przyjdzie działać jako samoistne bataliony — będą czuły, że mają plecy zabezpieczone. Takie zaś bezpieczeństwo można główne osiągnąć przez obwarowane obozy. Każdy taki obóz będzie najczęściej dla nieprzyjaciela twardym orzechem do zgryzienia. Nie będzie mógł więcej tak śmiało rozpuszczać swych zagonów, obliczonych na przestraszenie i demoralizacyę kraju, na sposób tatarski, — i to właśnie na przestrzeniach, których mu własne bezpieczeństwo nie pozwoli obsadzać korpusami i bawić się w regularne zdobywanie tych obozów przez oblężenie.

Na odwrót, obozy takie, pozakładane chociaż na mniej więcej punktach strategicznych, mogą zbawiennie oddziaływać na ducha i waleczność pospolitego ruszenia, bo bataliony tegoż, mając plecy zabezpieczone, nawet w razie porażki najspokojniej się będą cofać, gdy oddane na własny zmysł, szukaćby musiały punktu oparcia lub nowego zboru.

W obozach takich wyrobienie pospolitaków będzie daleko pewniejsze i skuteczniejsze, aniżeli na otwartym terenie, który może każdej chwili być alarmowany, gdy pospolitak nie jest jeszcze do użycia w polu. Kupy zaś, chociażby najliczniejsze, bez jakiego takiego wymusztrowania, pozostaną tylko kupami, które lada napad może rozbić.

Rok 1863. może w obecnie zajść mogących wypadkach posłużyć za porównanie. Powstanie w roku 1863., nie mające ani jednego batalionu regularnego wojska, nie było niczem innem, jak tylko cząstkowem pospolitem ruszeniem. Prawda, że o ile nam zbywało liczebnie bojowników, o tyle byłe wielkie duchem.

Obecnie zaś potrzeba tylko chcieć, ale szczerze, bo i ten zapał będzie mógł być wliczony w rachunek. Powstaniec ten, uzbrojony bardzo niedostatecznie, stoczył jednak mnóstwo potyczek, a nawet regularnych bitew. Kto jednak zna dobrze szczegóły powstania 1863. r., ten też wie, że tylko te oddziały biły się dobrze i zwyciężały, które miały chociaż kilkanaście dni czasu do spokojnego wyćwiczenia się. Natomiast oddziały inne, wyekwipowane i uzbrojone jak najlepiej, a nie mające czasu na spokojne wymusztrowanie, ginęły marnie i bez żadnej chwały, bo w takich razach ani dzielny dowódca, ani bohaterstwo i poświęcenie powstańca, nie odpowiadały warunkom wojennym. Środki zaś powstania tego były tak słabe, że o oszańcowanych obozach nie mogło być nawet mowy. A gdyby chociaż kilka takich obozów można było stworzyć, to Moskwa nie 200.000, jak było rzeczywiście, ale drugie tyle byłaby zmuszoną wyprowadzić w pole.

Jeżeliby rzeczywiście miało przyjść pomiędzy Austro-Węgrami a Rossyą do wojny, to takie obozy na terytoryum Galicyi wschodniej powinnyby oddać głównej armii znaczne usługi, posiłkując i zabezpieczając jej tyły i nie narażając na rozdrobnienie pojedyńczych korpusów regularnych. Jakby zaś wyszły na swych napadach dragońskie i kozackie pułki kawaleryi, toby czas pokazał.

Nie koniec jednak na tych wysiłkach środków bezpieczeństwa i skutków; jest albowiem przypuszczalnem i bardzo prawdopodobnem, że pułki dragonów i kozaków, których napadem na Galicyę nasi najserdeczniejsi tak nas straszą, gdyby rzeczywiście napadły, nie grzeszyłyby zbytnią grzecznością, szczególniej wobec większych miast. Zapały te męstwa mogłyby być skutecznie chłodzone, gdyby miasta te były oszańcowane. W takich warowniach wystarczyłoby nawet drugie powołanie pospolitaków do obrony. Lepszego zaś uzbrojenia, jak karabiny „Werndla“, nie można sobie życzyć dla pospolitego ruszenia. A gdyby jeszcze w takich obozach były jakie takie bateryе, obrona tychże byłaby jeszcze lepszą.

Do takich obwarowań stanęłyby w każdym punkcie dziesiątki tysięcy rąk, a wszędzie spotkałby się nieprzyjaciel z nową Plewną.

Takie poglądy stają się coraz powszechniejsze, a omawiane są nieustannie w poważniejszych gronach obywateli, którzy wobec możebnej wojny i świadomości grozy, jaką w ogóle każda wojna z początku z sobą przynosi, nie upadają i nie tracą ducha, lecz przeciwnie oczekują z męską rezygnacyą — co Bóg Wszechmocny przeznacza nam w udziale.

J. N. z O. G.

Kruki.

Zwykle to tak bywa, że gdy dopiero w powietrzu zapachnie krew, gromadzą się i zlatują kruki na żer, a gdzie spadną, zawlekają zarazę. Najstraszniejsza jednak jest zaraza moralna, nam niestety przeszło przez wiek zaszczepiana, na wszystkie sposoby i we wszystkich warstwach społecznych. Zaraza ta musiała spowodować zakażenie zdrowego ciała do tego stopnia, że z każdym dniem zatracamy coraz więcej nawet resztki poczytalności narodowej karności i czci własnej. Któż nie przyzna, że takie oznaki wstrętne, szczególniej w chwilach ważnych, sprawiać muszą najboleśniejsze uczucie.

Taki rodzaj kruków, którym pozostał tylko jeszcze instynkt żeru, nabytego za jakąbądź cenę, zaczyna i nas nawiedzać. A my cóż na to? — Trudno powiedzieć aby to była zła wola lub rozmyślne bratanie się z najwstrętniejszym upadkiem moralnym, — ale jest to jakaś niczem nieusprawiedliwiona dobroduszność i łatwowierność, że otwieramy gościnne wrota i litościwe serca tym, których jak jadowite płazy należy tylko odtrącać od siebie i deptać.

A przecież taki to smutny fakt mamy obecnie do zanotowania w kronice „Strażnicy polskiej“.

Dzienniki lwowskie w dniu 12. i 13. b. m. podały następującą wiadomość:

„Kuryer lwowski“:

Odczyt p. Przyborowskiego p. t. „**Ostatnie dwudziestolecie literatury polskiej,“ który sprowadził wczoraj bardzo szczupłą garstkę do sali ratuszowej, rozpoczął się od rzeczy bardzo przykrej. Mianowicie powstał p. Gniewosz i zrobił prelegentowi ciężki zarzut, że jest przyjacielem Mirosława Dobrjańskiego i jako taki nie ma prawa występować tu z odczytem. Po krótkiej kontrowersyi z prelegentem p. Gniewosz opuścił salę, a p. Przyborowski tłumaczył**

słuchaczom, że krzywdzące go podejrzenia powstały ztąd, iż przyjmując udział w sprawie unickiej, wyszedł z niej obronną ręką, podczas kiedy inni zostali aresztowani. Po tem wyjaśnieniu przystąpił p. Przyborowski do odczytu, którego treść polegała głównie na wykazaniu łączności między literaturą współczesną, a przetwarzaniem się naszego społeczeństwa w kierunku budzenia się samowiedzy mieszczaństwa, ustępowania szlachty z zajmowanego dotychczas stanowiska, wyodrębniania się nowych warstw o sprzecznych interesach i t. d. Wskazując paralelizm i różnice między prądem pozytywistycznym warszawskim, a wstecznym krakowskim, uważa prądy te nacechowane pessymizmem, za należące do przeszłości i stwierdza obecne rozbudzanie się ruchu demokratycznego i zarysowujący się zwrot ku ideom towarzystwa demokratycznego.

Pan Przyborowski — sądząc z odczytu, przedstawił się nam, jako umiarkowany acz szczery demokrata, o ile demokratyzm polega na poczytywaniu ludu za główny czynnik społeczny pod względem politycznym, przedstawił się nam prelegent mniej wyraźnie i szczególnie kiedy ganiąc „niewłaściwy sposób“ zainaugurowania polityki ugodowej przez osławioną „Chwilę“ w zasadzie tej polityki nie potępił, a poruszając pierwszorzędne zagadnienia, do których rozwiązania dojrzewa polskie społeczeństwo, nie postawił jasno kwestyi niepodległości, która wszakże była integralną częścią programu towarzystwa demokratycznego.“

„Dziennik polski“:

„(S. P.) **Odczyt** wczorajszy p. Stanisława Przyborowskiego odbył się w obecności niespełna dwudziestu osób w wielkiej sali ratuszowej. Treść wykładu stanowiły obszerne komentarze znanej publikacyi p. Chmielowskiego o naszej literaturze z ostatnich lat dwudziestu, przeplatane niefortunną polemiką prelegenta z szanownym autorem tegoż dzieła.

Wystąpienie p. Przyborowskiego na estradzie prelekcyjnej poprzedziło nieprzyjemne zajście, w którem interweniować musiała władza bezpieczeństwa.

„Gazeta Narodowa“:

Odczyt p. Stanisława Przyborowskiego odbył się wczoraj wieczorem przed bardzo nieliczną publicznością. Z okazyi odczytu musimy zanotować fakt bardzo niemiły, — skandal wywołany w sali ratuszowej, przez p. Gniewosza, redaktora „Strażnicy.“ P. Gniewosz odezwał się do wstępującego na estradę p. St. Przyborowskiego słowami: „panie prelegencie, nie tu twoje miejsce“ i chciał niejako zterroryzować publiczność, ażeby odczytu nie słuchała. P. Przyborowski wytłumaczył to zajście zarzucaną mu łącznością zasad z osławionym Adolfem Dobrjańskim i odparł to podejrzenie. (!) P. Gniewosz ustąpił ze sali i następnie odczytał prelegent rzecz swą o ostatniem dwudziestoleciu literatury polskiej. W ogólnych konturach zarysował charakterystykę powodów zwrotu literatury polskiej od czasów powstania z r. 1863, a rzucając następnie pogląd na rozwój piśmiennictwa w poszczególnych jego gałęziach, nacechował rozwój i idee dziennikarstwa, poezyi i powieści. Prelegent usiłował w swym odczycie wykazać przebijanie się w literaturze idei demokratycznej, zwiastującej upadek szlachetczyzny i przebudzenie się do życia demokratycznie myślącego mieszczaństwa. Olbrzymi temat przez prelegenta zręcznie ujęty w ramy jednogodzinnego odczytu, był, o ile to możebne, dostatecznie wyczerpany, i tylko żałować przychodzi, że wskutek tego właśnie ujęcia szan. prelegent nie był wstanie zapuszczać się w szczegóły, któreby rzecz tę niezawodnie przystępniejszą i ciekawszą uczyniły.“

Wystąpił także i „**Przegląd**“ recte p. Masłowski w obronie Stanisława Przyborowskiego, ale liczyć się z „Przeglądem“ i szeregować go z innemi pismami, byłoby nie na miejscu. „Przeglądowi“ wolno na nas pisać i brać w obronę kogo chce.

A teraz do rzeczy:

O istnieniu p. Stanisława Przyborowskiego nie było nam do niedawna nic wiadomo. Znaliśmy tylko jego brata Walerego Przyborowskiego, jako redaktora zwaryowanego na duchu, osławionej „Chwili“ — mianowicie gdy to pismo warszawskie przy pomocy takich współpracowników jak Stanisław Przyborowski i jemu podobnych indywiduów (o czem się teraz dopiero dowiedzieliśmy), pisało o „Strażnicy polskiej“ najnikczemniejsze oszczerstwa.

Mając stosunki z Warszawą, z ludźmi poważnymi i wypróbowanymi patryotami, zostaliśmy przed kilku tygodniami powiadomieni, że p. Stanisław Przyborowski, były współpracownik „Chwili“ i brat byłego redaktora tegoż pisma, wyjechał z Warszawy do Galicyi *jako ajent Mirosława Dobrjańskiego*, znanego kata Unitów na Podlasiu, — że tenże Stanisław Przyborowski, którym się tak niefortunnie i zapewne przez niewiadomość zaopiekowała redakcya „Reformy“ w Krakowie, — zjedzie do Lwowa.

Odebrawszy tę wiadomość, a nie mogąc, z powodu od kogo pochodziła, ani na chwilę powątpiewać o wiarogodności — i domyślając się wreszcie, że Przyborowski we Lwowie będzie chciał mieć odczyt, wiadomość tę podaliśmy kilku poważnym osobom ze sfer literackich. Od tych powszechnie szanowanych, a mających również stosunki w Warszawie, dowiedzieliśmy się ku naszemu niemałemu zdziwieniu, że Stanisław Przyborowski jest im znany dobrze, wiedzą jaki to niebezpieczny ptaszek i po co on tu może przyjechać. Rzecz cała stała się głośniejszą w sferach literackich i doszła zarazem do redakcyj dzienników lwowskich.

Radzono nawet, jak sobie z tym nieproszonym gościem o szerokiej naturze postąpić. Chciano go wzywać i interpelować, po co przyjechał i czynić mu zarzuty, aby się tłumaczył, lecz projekta te nie wytrzymywały krytyki, a mogły się na później stać dla kogoś niebezpieczne, ktoby chciał n. p. zajrzeć do Warszawy, lub przejechać tylko słupy graniczne. O jakiej innej procedurze nie można przecież nawet pomyśleć.

Otóż podpisany redaktor „Strażnicy polskiej“ oświadczył, iż najlepiej będzie nie dopuścić Stanisława Przyborowskiego do odczytu, oświadczyć mówcy dlaczego, i zmusić moralnie do natychmiastowego wyjazdu ze Lwowa i Galicyi. Aby w tę sprawę nikogo niepotrzebnie nie mięszać a może i nie narażać, redaktor „Strażnicy p.“, który do Warszawy ani za słupy graniczne nie pojedzie w obecnych warunkach, przyjmuje to oświadczenie panu Stanisławowi Przyborowskiemu na siebie.

I tak się też stało; bo gdy w przeszłym tygodniu wskazano nam w cukierni p. Kosteckiego, że pan St. Przyborowski jest na czarnej kawie, zbliżył się do niego redaktor „Strażnicy polskiej“ i oznajmił mu dobitnie, aby się nie ważył mieć odczytu i jak najspieszniej opuścił Lwów i Galicyę, gdyż inaczej postąpi się z nim tak, jak na to zasługuje. Działo się to wobec kilku osób, a nawet jednego współwłaściciela „Dziennika polskiego.“ Stanisław Przyborowski zmięszał się, mruknął: „zobaczymy“ — a gdy ci, którzy z nim przy jednym stoliku siedzieli, wyszli, i on wkrótce — nie śmiejąc podnieść wzroku — wyszedł. O zajściu tem były powiadomione redakcye dzienników lwowskich.

Na drugi dzień przysłał Przyborowski jednego z literatów z propozycyą, aby mu redaktor „Strażnicy polskiej“ naznaczył miejsce do widzenia się, by się mógł usprawiedliwić z czynionych mu zarzutów, i pyta, co mu się zarzuca.

Redaktor „Strażnicy p.“ odpowiedział, iż nie widzi żadnej potrzeby widzenia się z nim, a zarzut polega na tem, że *Stanisław Przyborowski jest ajentem Mirosława Dobrjańskiego, i przybył tu jako delegat jego do moskalofilskiego obozu.*

Po tem wyraźnem oświadczeniu, Przyborowski nie starał się już więcej widzieć, ani wzywać kogośkolwiek do obrony swej czci i honoru. Z dziwną bezczelnością chodził wszędzie kogo tylko znał lub mógł poznać, po domach, i przedstawiał się jako literat z Warszawy, prelegent, ofiarując bilety na odczyt. Nie zrażało go najzimniejsze przyjęcie, stronienie wyraźne, obojętność i niechęć. Dodawał sobie do tego natręctwa odwagi alkoholem, kióry od niego z daleka buchał swym odorem.

Napisano kilka listów do Warszawy, dowiadując się, po co Przyborowski tu mógł przyjechać. Na jeden odpowiedziano, iż zamierza przejść na wyznanie greckokatolickie. Przyborowski zapytany o to, zaprzeczył, — wyparł się, że o tem nic nie wie.

Okazał list rzeczywiście poważniejszy, ale nader względny, bo opinia mogła pochodzić z dawniejszych czasów, gdyż St. Przyborowski uchodził do 1883 roku za gorącego patryotę, — gdy raptem jego towarzysze w obronie nieszczęśliwych Unitów, dostali się na Sybir, — on ocalał, a skazani już przedtem drzeli przed nim i wskazywali — jako szpiega. Dowiedziano się o jego stosunkach z Mirosławem Dobrjańskim.

O tem wszystkiem były redakcye dzienników lwowskich powiadomione, a pomimo to nie uznały za właściwe chociaż zamilczeć o odczycie Przyborowskiego, lecz przeciwnie, nawet dzień przed tym odczytem przypomniano jeszcze raz publiczności. Czy to był brak odwagi, aby sobie p. Przyborowskiego nie narazić, lub jakie inne powody, tego się nawet domyśleć nie możemy.

Redaktorowi „Strażnicy polskiej“ wobec tego, co już zaszło, nie pozostało nic innego, jak pozostać konsekwentnym, a więc tak też uczynił.

W sali ratuszowej zgromadziło się **10.** b. m. o godzinie **7. czternaście osób**, z tych **dziewięć** kobiet i **pięciu** mężczyzn. Był również obecny c. k. komisarz policyi.

Gdy Przyborowski wszedł na estradę i miał rozpocząć odczyt — wystąpił „redaktor Strażnicy“ — i głosem wyraźnym tak się odezwał:

— *„Panie prelegencie! — tu nie miejsce dla twoich popisów! — tu niema przyjaciół Mirosława Dobrjańskiego; wracaj do niego — precz!* — A zwróciwszy się do obecnych, dodał:

— *„A teraz czyja wola, niech słucha tego pana!* —

poczem się odwrócił i spokojnie opuścił salę.

Usłyszawszy już w przedpokoju za sobą kroki — odwrócił się, a ujrzawszy zbliżającego się c. k. komisarza policyi, oświadczył, że opuszcza salę, a za to co uczynił, gotów odpowiedzieć, gdy zostanie wezwany, — czem się p. komisarz naturalnie zadowolnił.

Przyborowski — udając jakoby nie znał redaktora „Strażnicy“, pytał natarczywie o nazwisko, które mu też tenże powiedział.

Co dalej nastąpiło w sali — nie jest nam wiadomo; — faktem jest jednak, że *czternastka publiki* uznała za właściwe po tem zajściu i napiętnowaniu wyraźnem ajenta Mirosława Dobrjańskiego — pozostać w sali — słuchać odczytu — a potem — obdarzyć go podobno rzęsistymi oklaskami.

Z płci męzkiej, gdy odejmiemy dwóch dziennikarzy, pozostaje więc na słuchaczy trzech. — Ale z jakich sfer szeregowało się aż dziewięć przedstawicielek płci pięknej, pałających tak silnie ku p. Przyborowskiemu, nie jesteśmy w możności objaśnić.

Mniejsza jednak o to — natomiast przypatrzmy się, jak sobie postąpiło dziennikarstwo lwowskie.

„Kuryer lwowski“ — jakkolwiek zaznaczył, czyniąc nieoględną reklamę Przyborowskiemu i nie miał odwagi zaprotestować przeciw niepowołanemu apostołowi oświaty, — podał jednak sprawozdanie przedmiotowe, zgodne z prawdą i nawet cenną — bo ten tylko sprawozdawca powtórzył usprawiedliwienie Przyborowskiego, że aczkolwiek brał udział w sprawach wielkich i gdy inni byli aresztowani (wywiezieni na Sybir Red.) — *on wyszedł obronną ręką.*

Tak się usprawiedliwiał ten wrzekomy apostoł, stojący na estradzie przed publicznością — który przybył do Galicyi za paszportem oberpolicmajstra warszawskiego, i niezawodnie ma zamiar wkrótce tam powrócić.

Fakt ten jest arcyciekawy, bo udowadnia, jak mało ma obawy p. Przyborowski z powodu patryotycznego swego udziału, chociaż kolegów jego, a politycznych ówczesnych przyjaciół patryotów — wywieziono.

P. Przyborowski widocznie zagalopował się zanadto mimowoli w swojem uniewinnieniu, ale to co powiedział, trudnoby mu było już dzisiaj odwołać.

Jego dawniejsza czynność patryotyczna musiała być nader względnej natury, jeżeli dziś, żyjący w Warszawie, tak swobodnie o tem mówi. To jego zeznanie nietylko nam, ale i szerszym kołom naszego społeczeństwa wystarczy.

Reporterowi „Dziennika polskiego“ który napisał o „niemiłem zajściu“, nie określając tegoż bliżej, widocznie zależało na tem, aby p. Stanisława Przyborowskiego nie kompromitować, — i tej to przyczynie zawdzięczamy, że nie napadł na redaktora „Strażnicy polskiej“ według praktyk dawniejszych. Że zaś „Dziennik polski“ nie grzeszy odwagą, — z wyjątkiem wobec spraw zakulisowych teatralnych — to już powszechnie wiadomo. Dziennikowi temu nie mamy jednak za złe tego braku odwagi, bo redakcya ta, gdy dojdzie kiedyś do pełnoletności dziennikarskiej, jest nadzieja, że się jeszcze wyrobi.

„Gazeta narodowa“, której redakcya składa się ze starych, wytrawnych sił i powag, poszła w obronie Przyborowskiego najdalej. Bodaj jednak, czy to z jej strony nie jest tylko — roztropna przezorność, obliczona na wszelkie możebne w przyszłości następstwa. A nuż . . . . p. Przyborowski stanie się kiedyś wielkim człowiekiem, toć lepiej już teraz nie narażać mu się i jego politycznym przyjaciołom — i nazwała wystąpienie redaktora „Strażnicy“ — „wywołaniem skandalu“. Wprawdzie podług pojęć pewnych znanych „urbi et orbi“, improwizatorów bankietowych, burdy robić, a nawet gdy we łbie alkohol szumi — porwać się za bary, to nic nie szkodzi; ale wywołać burdę po trzeźwemu, po szklance zimnej wody — i nie poszanować takiego gościa jak Przyborowski, to czyn oburzający, to niebywały „skandal“!

Czy jeneralny improwizator nie napisał dotąd ody współczucia do męczennika Przyborowskiego, dotąd o tem nowem natchnieniu wprawdzie jeszcze nie słyszeliśmy, — ale należy go się spodziewać. Tak samo może będziemy wkrótce czytać rozprawę p. Juliusza Starkla o nieposzanowaniu staropolskiej gościnności. Obawiamy się tylko, czy tych znakomitych mężów nie ubiegnie ich kolega szanowny i trzeci główny współpracownik „Gazety Narodowej“ — p. Zygmunt Fröhling-Fryling, znający dobrze „plac warszawski“, i czy nie pospieszy tam z oświadczeniem, że jemu się należy nagroda za zmaltretowanie *rewolwerowego* redaktora „Strażnicy polskiej“.

Tyle o naszych dziennikach lwowskich. Ich postąpienie w tej sprawie oddajemy pod ocenę opinii pu-

blicznej, oświadczając, że to co uczyniliśmy, było tylko wynikiem *najsumienniejszego* przekonania, opartego na *dowodach*; a jakich, to już jest szanownemu gronu patryotów wiadomo. Za napiętnowanie *tego ajenta Mirosława Dobrjańskiego*, kata Unitów, odpowiemy z czystem sumieniem przed sądem Boga!

Wobec zaś kraju i narodu — spełniliśmy tylko święty obowiązek obywatelski.

Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz.

Hulaj babula!

Hulajcie dziatki młode i stare! — Hulajcie, dopóki jeszcze możecie choć kilka groszy zdobyć na lichwę, zaprzedając lub dając w zastaw honor, cześć — i resztki żywota!

Tak jest — karnawał tegoroczny w Galicyi odbywa się tak szumnie i hucznie, jak gdyby Wisła, San i Dniestr płynęły miodem i mlekiem, a widnokrąg nad nami był urzeczywistnieniem raju ziemskiego.

Można zrozumieć i usprawiedliwić taki szał, jeżeli są chociaż odpowiednie do niego warunki bytu moralnego i materyalnego, — jeżeli żadna groza nie wisi nad głowami społeczeństwa. Jeżeli jednak my, nędzarze i żebracy, a przynajmniej stojący nad przepaścią wszelkiej nazwy bankructwa — zagrożeni z dwóch stron zagładą — nie umiemy zrozumieć naszego stanowiska, że to jedyne jeszcze nasze ognisko, przy którem powinniśmy się skupiać i nabierać hartu do walki, która nas czeka, a tego nie czynimy, — to gdzież zchodzimy? — Gdzież się oprzemy i jaką otuchą natchniemy tych braci naszych, z którymi winniśmy się dzielić każdą kroplą ożywczą, jakąbyśmy jeszcze zdobyć mogli? —

Niestety — nie zapierajmy się, że zatracamy rozmyślnie te wszystkie barwy cnoty i obowiązków! Zapytajmy się własnego sumienia, czy nie jest prawdą, że z każdym dniem zatracamy coraz więcej prawo — nazywania się Polakami — bo z każdym dniem stajemy się obojętniejsi na straszną niedolę braci naszych. — Czy to nie jest prawdą, że nie umiemy już panować nad własnemi chuciami i żyjemy tylko na żart bez myśli i troski — co jutro nastąpi? — A więc: — „hulaj babula!“

Co jednak jest jeszcze smutniejsze i wstrętniejsze, oto to, że aby upozorować ten szał i pokryć nicestwo nasze, rozgnojenie moralne, okrywamy się hasłami rzekomego patryotyzmu i poświęcenia. Cóż to za bolesna ironia, gdy to niby dla uczczenia pamiątek narodowych, a nawet dla pamięci poległych braci, — rzucając dla nędzy zaledwie szelągi, centy, lub co najwięcej 1 lub 2 złr. za bilet wstępu, wydajemy na bankiet jeden tyle, żebyśmy za tę cenę mogli rzeczywiście dokonać czynów szlachetnych i rzeczy wielkich. Do takiego poczucia nie doroślismy jednak, wolimy albowiem sami chwilowo wypchać żołądek i nalać gardło, zjeść smaczny owoc, a łupinę lub ogryzek złożyć na ołtarz ofiarny. To wystarcza dla uspokojenia naszego sumienia.

W bezkarności i cynizmie doszliśmy do takiej bezczelności, że w dnie bolesnych pamiątek, na uczczenie tychże, odbywają się już — zabawy z tańcami, a głos publiczny zaledwie ma odwagę zaznaczyć nieśmiało, że to jest — „niewłaściwe.“

Czy szał taki nie pachnie moralnem bankructwem? — Cóż dopiero mówić o stronie materyalnej, w jakich to warunkach odbywają się te bale; pikniki, wieczorki publiczne i prywatne. Gdy w salonie grzmi muzyka, światło olśniewa, a wino dodaje humoru, z poza okien zagląda nędza, akompaniując zgrzytem zębów.

Ktoby tam jednak dbał i zważał na takie mary, gdy się uważa za daleko właściwsze, jeżeli bankrut bankruta tumani blichtrem dostatków, świetności, przeważnie w tym celu, aby módz dłużej wyzyskiwać bliźnich, a tem samem pokrywać własne bankructwo. Tu i ówdzie odezwie się jakaś blaga o „wełnianych wieczorkach,“ które mają oznaczać oszczędność. Przypatrzywszy się jednak nawet tej wełnie bliżej i oceniwszy ją na owieczce, która ją nosi, przekonamy się, że wełna jak wełna, ale te dodatki do niej wynoszą tyle na jeden występ, iż cała rodzina mogłaby za te pieniądze żyć miesiąc cały.

Po takiem — „hulaj babula“ — skutki jasne jak na dłoni. Dochody nie wystarczają, a tu trzeba żyć, pracować i zachować chociażby decorum. Szuka się więc nawet ostatecznych środków dla załatania tej nędzy, dla wegetowania po karnawale, a że tonący brzytwy się nawet chwyta, to łatwo sobie dośpiewać, co się dalej dzieje. Oto giną resztki fortun na publicznych licytacyach, lub skrępowany bez oddechu wekslami i długami niecierpiącemi zwłoki — usłępuje pan dziedzic i przenosi się na bruk miejski. — Urzędnik traci głowę i poczytalność co go obowiązuje, zchodzi z drogi czci i honoru, dopuszcza się zdrożności, które go czynią swoim niewolnikiem, — a gdy żona widzi, dokąd mąż dąży lub już zaszedł, zapomina również o obowiązkach żony — matki — obywatelki, — traci poczucie czci kobiecej, upada coraz niżej, aż w końcu staje się nędznicą. — Tak samo dzieje się z młodzieńcem, który zapomina co winien społeczeństwu, krajowi i Ojczyznie.

Ztąd to pochodzi, że spotykamy coraz więcej miedzianych czół; cynizm, bezczelność, bezwstyd występują coraz jawniej, jakby ta ohyda była czemś najzwyczajniejszem, co już uzyskało powszechne obywatelstwo.

Przykłady takie gdy idą z góry, przechodzą prawem natury i spadają duchem swym aż do dna, na najniższe warstwy społeczne, rozluźniają węzły rodzinne, bo najczęściej: — jaki ojciec taki syn, jaka matka, taka córka.

Dla tego szału nie ma widocznie granic. To co się dzieje, to jakby taniec szkieletów Holbeina, który w podziemiach piekła wiruje. Oby nas Bóg za ten szał więcej jeszcze jak dotąd nie ukarał!

J. N. z O. G.

---

†

S. p. Władysław Majewski

zmarł po krótkiej chorobie dnia 29. Stycznia r. b. w Zakozielu na Litwie.

Ś. p. Władysław był bratem rodzonym Karola, znanego w dziejach wypadków 1863 i 1864, oraz Wincentego mecenasa, adwokata warszawskiego.

Władysław Majewski urodził się w górach Świętokrzyskich w r. 1830. Po ukończeniu szkół średnich udał się do szkoły rolniczej w Marymóncie pod Warszawą, która wtenczas była jedyną prawie pieleszą ducha narodowego. Profesorowie, z prawdziwem poczuciem patryotycznem, świetnie spełniali swój obowiązek, aby wychowywać młodzież zdrową na duszy i ciele. Pomimo rygoru moskiewskiego, jaki tam więcej w Marymoncie był przestrzegany, i cała zgraja szpiegów otaczała zawsze ten instytut i każdego ucznia a nawet profesora, nic to nie przeszkadzało, że cała ta legia składała jakby jedną rodzinę, a profesorowie choć każdej chwili mogli się znaleść w cytadeli lub być wywiezionymi na Sybir, ani na krok nie odstępowali od tych świętych obowiązków jakie im Matka Polska nakazywała.

Na czele tego grona dzielnych mężów stał Wojciech Jastrzębowski. Był to mąż niepospolitego umysłu a gorącego serca, młodzież go nietylko kochała, ale ubóstwiała. W każde wakacye odbywał on wędrówki po kraju, a te miały dwa cele: krajoznawstwo i pobudzanie u innych ducha do wytrwałej, dodatniej pracy. W tych to czasach poznaliśmy ś. p. Majewskiego, który posiadał wszelkie zaufanie u Jastrzębowskiego, a nawet później, po wyjściu z Marymontu, łączyły ich bliskie stosunki w pracach publicznych.

Ś. p. Władysław osiadł następie na zagonie w powiecie Olkuskim w Zagórzu, a potem kupił Dylów w powiecie Wieluńskim. Posiadając odpowiednią wiedzę, starał się o podniesienie gospodarstwa rolnego nie tylko u siebie, ale wszędzie tam, gdzie chciano słuchać jego rady.

Nadszedł rok 1861—63; Władysław Majewski należał do organizacyi, a potem w samem powstaniu, bez względu na żonę i dziatwę małą, opuściwszy majątek brał gorący udział. Przez pewien czas pełnił obowiązki komisarza Rządu narodowego w Krakowie. Nie pozostało mu nic innego po upadku powstania, jak udać się na tułactwo. Mógł mieć wprawdzie silną protekcyę i poparcie do uzyskania amnestyi, z takowych jednak nie usiłował nawet korzystać. Zamieszkawszy w Paryżu, oddał się głównie buchalteryi i nauce bankowej, pracując po różnych instytucyach aż do końca r. 1866, studyując przytem nadzwyczaj pilnie wszelkie prace ekonomiczne, o ileby się takowe w przyszłości zastósować dały we własnej Ojczyznie, w czem mu krajoznawstwo było bardzo na rękę.

W r. 1867. przybył do Galicyi i pracował w bankach krakowskim galicyjskim, w Stanisławowie, a później przez dłuższy czas w Union-Banku w Wiedniu. Głównem jego usiłowaniem była praca o podniesienie handlu i przemysłu w kraju. Nosił on się rzeczywiście często z planami wielkiej doniosłości i opartymi na pewnikach wyników, lecz gdy przyszła jedynie era finansowania niekoniecznie szlachetnego, gdy wszystkich opanowała gorączka bogacenia się — jak to mówią — przez noc, to i plany ś. p. Władysława nie znalazły odpowiedniego poparcia, chociaż mu musiano przyznawać znajomość szerszych poglądów, opartych na miłości kraju.

Czas wykształcenia dzieci przypadł na epokę jego pobytu w Wiedniu, a pomimo to wychował on dzieci czysto po polsku i w duchu narodowym. Sam w życiu codziennem odznaczał się nadzwyczajną skromnością; potrzeby jego były małe, nie bawił się nawet nigdy w pana, chociaż był jednym z dyrektorów Union-Banku, a takiego samego trybu życia pilnował w domu. Przywiązany do ogniska domowego i do rodziny, tam tylko znajdował się szczęśliwym. Wprawdzie w r. 1863. dopuścił się może niejednego błędu, ale nie ze złej woli, ale z powodu zbytniej wiary w tych, którzy stali po nad nim. Nie stawał on też potem w obronie ich, jak to inni czynili, bo wiedział, że nie może bronić.

Mozolna i nad siły praca, podkopała w ostatnich czasach znacznie jego zdrowie. Ze smutkiem patrzał w ubiegłe lata, przekonując się, że różowe nadzieje, jakie pielęgnował w duszy, zamieniają się coraz więcej w mgłę ułudną. Zmierził sobie stan, który go tyle lat i pracy kosztował, to też gdy natrafiła mu się sposobność zwrócenia się znowu do pługa, przyjął ją jak gwiazdkę szczęścia, i to go jedynie spowodowało do proszenia o amnestyę. Uzyskał ją i objął na Litwie w rozległych dobrach Zakozielu p. Orzeszko zarząd tychże. Z młodzieńczym prawie zapałem wziął się do tej pracy, aby długoletnie doświadczenie w kraju i za granicą zastósować do praktyki.

Nie było mu jednak przeznaczonem urzeczywistnić swe gorące chęci, gdyż zaniemógłszy nagle, zakończył żywot, — ale przynajmniej na ojczystej ziemi, która niech mu lekką będzie!

J. N. z O. G.

KRONIKA.

Grono przyszłych „pospolitaków“ postanowiło zebrać się w grupy celem nabycia wprawy w strzelaniu z karabinów „Werndla“ i „Repetierek“ na strzelnicy miejskiéj. Karabinów i ładunków podejmuje się dostarczać magazyn broni pana Alfreda Dzikowskiego.

Koszta obliczone są jak najtaniej.

Grupa jedna strzelających składać się będzie z 25 członków — i strzelać będzie raz w tydzień po południu. Każdy członek da sześć strzałów, które wraz za użycie broni, ładunki i wszelkie inne koszta, wynoszą 75 ct., czyli miesięcznie 3 zł.

Przy strzelaniu będzie instruktor, który uczyć będzie nabijania i obchodzenia się z bronią.

Mający chęć zapisać się do grupy, zechcą się zgłaszać do Redakcyi „Strażnicy polskiéj“ — przy ulicy Sykstuskiej nr. 37 (wchód od ulicy Osolińskich) codziennie od godziny 11. do 1. w południe i od 3. do 4. po południu.

Stanisław Przyborowski obchodził w sobotę i niedzielę różne osobistości wybitniejsze we Lwowie z żądaniem, aby te dla jego uniewinnienia zajęły się zwołaniem — „sądu honorowego“. Otrzymał jednak odpowiedź wyraźną — że złożenie takiego sądu dla oczyszczenia jego osoby jest wprost niemożebne. Nic to jednak nie pomaga, gdyż nawet pomimo szorstkości w obejściu się z nim tych, których bezczelnie nachodzi — wędruje znowu dalej.

Przyborowski oświadczył, że jedzie ze Lwowa przez Sandomierskie do Warszawy. Czy przypadkiem nie obrał tej prostej drogi, aby zajrzeć znowu na Podlasie? Podróżuje on nie sam, ale wraz z żoną.

Do Izb przemysłowych w Galicyi. Ustawa o pospolitem ruszeniu powoduje Ministerium wojny do zamówień na obuwie i inne przedmioty ubiorcze.

W tym wypadku należy Izbom przemysłowym wezwać naszych panów delegatów w Wiedniu, aby poczynili odpowiednie kroki dla uzyskania tych dostaw, chociażby tylko obuwia — dla rękodzielników naszych.

Z dziejów naszych dzielnych „Sokołów“ dowiadujemy się nader ciekawego szczegółu, charakteryzującego wybornie nasz uniwersytet lwowski i politechnikę. Oto, gdy do tych dwóch zakładów akademicznych uczęszcza do tysiąc kilkuset młodzieży — w Towarzystwie „Sokołów“ zapisanych jest jako członków czynnych aż:

czterech akademików.

Czy to nie wyborna — a jedyna może ilustracya — charakteru męzkości, dzielności i odczucia obowiązków tego pokolenia. Charłactwo duchowe, umysłowe i cielesne — oto podobizna wierna tych przyszłych obywateli. Czyż tych **czterech** czynnych członków w „Sokole“, nie daje tym tysiącznym paniczom świadectwa najsmutntejszego, ubóstwa rozumu i braku nawet instynktów zachowawczych? Przecież pracą naukową nie może się ta młodzież zasłaniać, boć to wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi.

Są prawda pilni — bardzo pilni — i biedacy, którzy o chłodzie i głodzie walczą w każdej godzinie o nędzny byt, ależ tego do ogółu nie można zastosować, bo widzieć również można liczne grona — setki ufryzowanych gogów — wyglansowanych i uperfumowanych nawet — jak żyją, jak się bawią i co jest ich ideałem? Ci za zbyt troskliwi o siebie, aby się narażali nad zdobyciem wiedzy. Ci mają inne wyłączne poglądy. Wszelkie poczucia patryotyczne są dla nich mrzonkami, z któremi się ich rodzaju powaga nie liczy. I bez „tych głupstw przestarzałych“ gdy zechce, zrobi „karyerę“, gdyż jego giętkość gimnastyczna jest zupełnie innego rodzaju i wystarczająca.

Towarzystwo „S o k o ł ó w“ dobre dla ulicy, ale nie dla nich — karły mają wyłączną ambicyę. Biedny kraj, któremu t a c y chcą na przyszłość przewodniczyć. Zaiste — sroczki, kawki i kobuzy nie przerodzą się już w sokołów ani orłów.

„Gazetę polską“, wychodzącą w Czerniowcach, która piąty rok tak dzielnie spełnia swą straż na kresach, spotkała niespodzianie katastrofa. Miała ona kaucyę, złożoną przez obywatela „B u k o w i ń c z y k a“. Ten dawszy ucho niepolskim żywiołom, którym „Gazeta polska“ stawała się coraz niewygodniejszą, niezawiadomiwszy a n i n a d z i e ń j e d e n n a p r z ó d pana Klemensa Kułakowskiego, redaktora, że kaucyę cofa — uczynił to urzędownie tylko — a redaktor dowiedział się dopiero wtenczas, gdy mu woźny doniesienie urzędowe wręczył. Strzał ten szlachetny uderzył celnie, bo wobec takiej niespodzianki, Redakcya nie mogła już wydać ani jednego numeru. Tryumf „n a s z y c h n a j s e r d e c z n i e j s z y c h“ w Czerniowcach był naturalnie wielki, z czem się bynajmniej nie tajono. Ale mocniejszy Pan Bóg, niż złość ludzka. To też gdy p. Kułakowski przybył do Lwowa i oświadczył jaki cios spotkał „Gazetę polską“, odezwało się natychmiast poczucie patryotyczne i kaucya 2.000 złr. została złożoną. Oprócz tego grono patryotów-obywateli orzekło, że „Gazeta Polska“ spełnia sumiennie swe kresowe obowiązki. Mamy też niepłonną nadzieję, że za tem hasłem pójdą inni obywatele, nietylko Bukowiny, ale i Galicyi — popierając czynnie to dobrze już zasłużone pismo. Niech się przekonają „nasi najserdeczniejsi“, że poczucie obowiązków patryotycznych u nas nie wymarło.

Zwracamy uwagę na ogłoszenie Zarządu „wapienników“ w Pustomytach barona L u d w i k a G r a e v e, a czynimy to wskutek kilkakrotnych zapytań, jaka to firma.

Otóż donosimy, że baron Ludwik G r a e v e, obywatel z Wielkopolski, właściciel dóbr, a jeden z dzielnych naszych bojowników w Sejmie pruskim, mąż pełen ducha do dodatniej pracy w każdym kierunku — otworzywszy na Podolu galicyjskiem kopalnie „f o s f o r i t ó w“ w celu przerabiania tychże na mączkę nawozową, dowiedziawszy się, że tuż pod Lwowem w Pustomytach znajdują się znaczne pokłady wybornego kamienia wapiennego, obok znacznych pokładów torfu, zawarł kontrakt z właścicielem Pustomyt panem Dunką na lat czterdzieście i stawia tamże tymczasowo dwa wielkie piece najnowszej konstrukcyi, które z wiosną puszczone będą w ruch. Warunki konkurencyjne przedstawiają się już teraz tak, że cena wapna może być znacznie obniżona.

Przedsiębiorstwu temu, w które baron L. Graeve kładzie znaczny kapitał, można tylko przyklasnąć, gdyż takich wapienników Galicya wschodnia dotąd nie posiada, a wskazówka praktyczna, jak cennym materyałem opałowym jest torf dla Galicyi wschodniej — będzie również nader pożądaną.

Od Redakcyi.

„Rewindykacya pamiątki narodowej“. Pana **K.......a**, byłego porucznika w r. 1863. z oddziału Lelewela Borelowskiego, a obecnie marszałka powiatowego, wzywamy po raz trzeci, aby stanowczo oświadczył, co się z tą pamiątką stało. Gdy i tym razem nasze wezwanie pozostanie bez skutku, nie będzie nasza wina, że rewindykacyą dalszą rozpowszechnimy podaniem całej sprawy do wiadomości publicznej, a może w taki sposób łatwiej się ta pamiątka odnajdzie.

Wzywamy pana Aleksandra Skrzyńskiego, byłego towarzysza broni p. porucznika **K.**, aby bezzwłocznie raczył podać swój adres, lub zgłosić się do Redakcyi „Strażnicy polskiej“ w sprawie, która nie cierpi zwłoki. Upraszamy również wszystkich tych, którym znany jest pobyt pana Aleksandra Szkrzyńskiego, aby nam raczyli donieść o jego obecnem zamieszkaniu.

Swietną Radę miasta Lwowa zapytujemy po raz trzeci, czy jej jest wiadomy przebieg sprawy wodociągów na Wulce i wielkie pokrzywdzenie tamże współobywateli, których Rada miasta w pierwszym rzędzie powinna wziąść w opiekę i chronić od zepchnięcia ich w objęcia nędzy? Oświadczamy, że tylko z prawdziwą przykrością zmuszeni będziemy sprawę tę już w następnym numerze wpisać do „s t a ł e j r u b r y k i — a ż d o s k u t k u“.

Do p. **A. Z.**, star. w Chrzanowie.

Czy pan rzeczywiście nie chcesz wiadomej sprawy z panem G. **K.** tak jak honor i uczciwość nakazuje ukończyć, lub czy takowa ma być z konieczności na widok publiczny wywleczoną?

Ostatnie wiadomości.

Jak to powiedzieliśmy już wyżej, nie mamy możności powtarzania nawet nader ważnych doniesień szczegółowo; nie przeszkadza to jednak do przedstawienia sobie całego obrazu, jakie jest obecnie położenie polityczne Europy. Do takiego przedstawienia nie potrzeba nawet być wielkim politykiem, ale umieć się tylko trzeźwo zapatrywać, i brać rzeczy nie według naszych osobistych życzeń, ale według rzeczywistości. I tak:

Pogotowie wojenne, przygotowywane *nieustannie* na olbrzymią i dotąd nie znaną w dziejach stopę, pomimo wszelkich upewnień i przepowiedni pokojowych, nietylko nie ustaje, ale przeciwnie, z każdym dniem jest z coraz większą gorączką potęgowane.

Sojusze należy wobec tych faktów nader względnie pojmować, gdyż są to złudne bańki mydlane, które w każdym momencie mogą się w nicość zamienić.

Nietylko pierwszorzędne państwa jak Rossya, Niemcy, Francya, Anglia, Włochy, przygotowują wszystko do wojny — co tylko w ich mocy, ale tak samo z największą skwapliwością zabezpieczają się: Belgia, Dania, Szwecya, Szwajcarya, Hiszpania i Portugalia, Grecya.

Austro-Węgry — wyznać trzeba — aczkolwiek nie śpią i również pilnie czuwają, robią jednak najmniej hałasu, nie krzyczą, nie wymyślają, nie prowokują, ale też właśnie dla tego spokoju męskiego — dają swoim krajom najwięcej otuchy i pewności, że im zbytnia obawa nie odbiera zmysłów.

Jedyne Austro-Węgry — naturalnie jako monarchia konstytucyjna — mogą się tem chlubić, że ani w sejmach, ani w parlamentach, ani w delegacyach zbiorowych, jakby nie było opozycyi, gdy idzie o uchwalenie milionów na wszelkie możebne wydatki pogotowia. Tak się dzieje z wszelkiemi przygotowaniami, i w danym razie mamy nadzieję w Bogu, dziać się będzie dalej. Taki spokój męzki bywa już połową wygranej. Jeżeliby zaś ktoś chciał się pokusić, aby ten spokój zakłócić wewnątrz granic monarchi, ten zaiste bardzoby źle na tem wyszedł.

A teraz przypatrzmy się jeszcze bliżej Europie:

Rossya, aczkolwiek stara się być groźną swym ogromem, to w gruncie rzeczy nie jest ona bynajmniej wolną od wewnętrznej obawy słusznej, że właśnie ta wielka potęga, zlepiona sztucznie z najrozmaitszych i najprzeciwniejszych sobie żywiołów, może się stać z łatwością jej zgubą. Gdyby u niej łączność siły ducha odpowiadała siłom fizycznym, wtenczas rzeczywiście mogłaby się stać nawet straszną dla Europy. Obecnie wykluczoną jest ta obawa.

Francya i Niemcy stoją naprzeciw siebie z ręką na ujęciu pałasza i z palcem na cynglu karabina.

Niemcy dla pewniejszego zwycięstwa żądają septenatu — Francya widocznie nie chce czekać uzupełnienia niebezpiecznych dla niej sił, i zdaje się, powodując się zmysłem zachowawczym, *nie będzie czekać.*

Pozostaje sprawa wschodnio-południowa. — Tu zaczęto Turcyę posądzać o tracenie zmysłów i niewczesne rzucanie się w objęcia moskiewskiej przyjaźni. — Pokazuje się jednak, że te obawy i zarzuty są niesłuszne — bo śmiało można twierdzić, że Turcya nie zatraciła swej tradycyjnej przezorności politycznej i nie da się złapać na przyjaźń Rossyi. — Wie o tem bardzo dobrze jakby ją wiele ta ufność kosztowała.

Rumunia, Bułgarya i Serbia tak samo wiedzą co je czeka — gdyby Rossya była górą; — przygotowują się też na wszystko co Bóg da, byle tylko nie na uległość Moskwie.

Bułgarzy nietylko zadziwiają — ale budzą dla siebie cześć — wytrwałością i konsekwentnem postępowaniem — *budzą wszelką wiarę*, że na tej drodze wytrwają. — Wprawdzie Czarnogóra poszła na żołd Moskwy — lecz co innego bić się po własnych górach — a co innego wystąpić do boju na innym terenie. — Zresztą austryackie „wernldówki“ — nie spuszczają z niej oka — i niepozwolą się tak swobodnie wynurzyć z ich granic.

Włochy, budzą wprawdzie u niektórych domorosłych polityków obawę, że ich przyjaźń z Austryą może być względną. Mogą być rzeczywiście jakieś pretensye z tej strony, ale te jeżeli przemówią, załatwione będą polubownie — a Włochy nie pójdą nawet pośrednio na rękę Rossyi.

Pozostają więc jeszcze tylko Austro-Węgry; — siła tychże nie może być zapoznaną; — w każdym razie gdy będą prowokowane — nie każą na siebie czekać, aby zekomenderowały: — **„Naprzód“!**

My zaś, *stoimy i stać musimy*, twardo przy naszym Monarsze, stać *powinniśmy* ramię przy ramieniu, pierś przy piersi — a gdy usłyszymy: — „Naprzód!“ wykrzyknąć tak samo jakoby z jednej piersi — aby echo niosło nasz głos bratni — jak daleko sięga ziemia polska i ruska.

Tymczasem spokój poważny — męzki — i czekać w skupieniu ducha, z modlitwą gorącą w sercach i na ustach — co Bóg da.

Oto kwintesencya wszelkich ostatnich wiadomości.

J. N. z O. G.



Jedyna na całą Galicyę

FABRYKA

I GŁÓWNY SKŁAD BRONI

ALFREDA DZIKOWSKIEGO

we Lwowie



poleca na sezon polowań po bajecznie nizkich cenach.

PATRONY
piorunowe
wyrobu
L. MANDL & COMP.
w Wiedniu
Kaliber 16. 3. złr. — ct.
„ 12. 3. „ 50 „

Karabinki kapslowe z bagnetami od 4 złr. 50 ct.
Pojedynki „ z patentową grubą „ 5 „ 50 „
Dubeltówki „ „ „ 10 „ 50 „

ŁAPKI
na wilki, rysie, wydry, lisy, kuny i ptactwo, drapieżne **od 2. złr.**

Lankastrówki „Dianna" wyrobu H. Piepera w Liege od 70 łr.
Iglicówki systemu Teschnera wyrobu Collatha „ 85 „
Lancastrówki „Hammerles" „ 100 „
Repetjerki amerykańskie 6cio strzałowe o jednej lufie w kalibrze 16tym i 12tym systemu Spencera „ 100 „

PATRONY niezawodne **LEFAUCHEUX**
100 sztuk kaliber 16 1 złr. — ct.
„ „ „ 14 1 „ 25 „
„ „ „ 12 1 „ 45 „
200 sztuk najlepszych przybitek 35 ct.
Patrony iglicowe Teschnera i Dreysego.

Na
SEZON
MYŚLIWSKI
1887
poleca

PATRONY LANCASTER
100 sztuk kaliber 16 1 złr. 35 ct
100 „ „ 14 1 „ 50 „
100 „ „ 12 1 „ 60 „
200 sztuk najlepszych przybitek 35 ct.
Patrony metalowe Lefaucheux i Lancaster.

NOWOŚĆ!

Oryginalne angielskie karabinki repetyery
12-strzałowe z zapałem centralnym kalibr. 44 (12m/m)
systemu i wyrobu COLTA w Londynie.

Ceny najtańsze.



Ceny najtańsze.

Długość całego sztućca 100 ctm.
Waga „ „ 265 dkgr.
Cena „ „ 65 złr.

Jestto broń myśliwska, która uznaną została przez ludzi fachowych za najlepszą w swoim rodzaju tak pod względem precyzyi strzału, jak i wykończenia nadzwyczaj starannego. Karabinki te przewyższają wszystkie dotychczasowe systema magazynowe swoją pojedynczą konstrunkcyą i trwałym mechanizmem.

Cennik illustrowany na żądanie rozsyła franco.

100 patronów cstrych z kulami 6 złr.



Oryginalnych angielskich
100 sztuk
8 złr.

Trąbki myśliwskie (praw. borówki) od 3 złr.
Laski i krzesła myśliwskie od 2 złr. 5) ct.
Torby na patrony praw. juch. od 4·50
„ „ „ z baraniej skóry „ 2·50
„ „ „ płócienne od 2 złr.
TWARDOŚRUT
1 klgr. 32 ct.
10 klgr. 3 złr.

Lusterka świecące w nocy, dające się używać zastępujące muszki na lufach, z najlepszym skutkiem do polowań nocnych (na zasiadki). Cena jednej sztuki wrazz opisem użycia 1 zł.
Kule ogrągłe stożkowe, explodujące, rotacyjne i 5-częściowe.
LOTKI łańcuchowe.

Expressy podwójne jak najlepiej ostrzelane w kal. 450 i 500 od 100 złr.
Büchs-Express w kal. 16/450 12/500 i 12/570 „ 100 „
Trzylufki „Drilingi" najnowszej konstrukcyi, „ 100 „
Oryginalne angielskie Lancastrówki, wyrobu Skotta Gremera, Braendlina, Hiadsona i innych „ 100 „

PRZYBORY
do
Szermierki.
Potrzeby uniformowe dla leśników.

Dubeltówki Lefaucheux z najnowszemi zamknięciami od **18·50.**
„ **Lancaster** „ **22·50.**
Pałasze dla straży leśnej i polowej „ **3·50.**

Jedyny skład
PIGUŁEK
dla psów przeciw nosaciźnie i psiej chorobie
WYROBY
Karola Hossońskiego.

Rewolwery

w najrozmaitszych systemach i kalibrach od ***3·50.***

Sztućce salonowe Floberta od 8 złr.
Pistolety „ „ „ 4 „
„ wiatrowe w szkatuł „ 6 „
Boksery i kastety angielskie „ 1 „
Futerały na strzelby „ 2·50.
Manierki, klucze do patronów, kordelasy i **noże myśliwskie.**

C. k. uprzyw.



GŁÓWNA SPRZEDAŻ SPECYALNYCH
GATUNKÓW
PROCHU STRZELNICZEGO
po cenach przez Rząd ustanowionych.

Skórzane kurtki myśliwskie

z podszewką wełnianą, podług systemu prof. Jägera, w kolorze czarnym i bronzowym, nadzwyczaj praktyczne od 16 złr.
Kaftaniki i kamizelki wełniane,
pończochy i rękawiczki do polowania i jazdy.
KAMIZELKI ŁOSIOWE.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: J. N. z Oleksowa Gniewosz.
Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek, L. 9.
Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.

Gdy „**Strażnica polska**“ nie jest prywatną własnością Redakcyi, lecz wydawnictwo to powstało ofiarnością grona patryotycznych Obywateli z Galicyi, Korony i Wielkopolski (o czem się można w Redakcyi przekonać); — gdy obecnie już do 500 egzemplarzy wysyła się za kordon graniczny bezpłatnie, a ztąd wynikają znaczne koszta — byłoby więc słusznem — aby patryotyczne Obywatelstwo galicyjskie o ile możności popierało wydawnictwo „*Strażnicy polskiej*“ — przez prenumeratę.

Redakcya.